

# Polscy policjanci w Kontyngencji Straży ONZ w Iraku (UNGCI) (1995-1996)

## Spotkanie przed wyjazdem

Staliśmy przed budynkiem, gdzie mieścił się Departament Wyjazdów Zagranicznych MON trochę smętnie analizując to, co przed chwilą usłyszeliśmy. Patrzyłem na „Długiego”, „Blondyna”, „Marudę” i Andrzeja - Policja zgłosiła nas do udziału w Kontyngencji Straży (*United Nations Guard Contingent in Iraq*) podobno jako swoich najlepszych ludzi - znaliśmy się z poprzedniej misji. Czerwona lampka zaświeciła się wtedy, gdy energiczny kapitan, który właśnie stamtąd wrócił, ot tak sobie rzucił, że dieta wypracowana przez ONZ ma zostać obniżona z 350 \$ do 100 dziennie, a jeśli chodzi o zagrożenia, to wiecie... *parę razy strzelali do nas jak do kaczek, ameba, bruceloza - środki ostrożności nie na wiele się zdają. Jesteście pierwszą linią zabezpieczającą warunki pracy dla wszelkich możliwych organizacji międzynarodowych, a zdefiniowanego przeciwnika nie ma. Kontyngent nie jest duży, liczy ok. 100 żołnierzy z kilku krajów pełniących służbę w regionie Kurdystan, który dla potrzeb misji podzielono na sektory: Dohuk, Arbil i Sulejmanija - od nazw głównych miast na pograniczu tureckim i irańskim. Polscy lekarze wojskowi i pielęgniarki zabezpieczają kontyngent medycznie - i to była jedyna w miarę krzepiąca wiadomość - nie będziemy więc sami. Spotkanie trwało nie więcej niż 25 minut. „Maruda” zauważył z przekąsem - *jak obniżyli diety, to MON przypomniał sobie o policjantach, wcześniej nawet nie pisnęli o tej robocie - to było oczywiste dla wszystkich.**

Byliśmy już po wszystkich możliwych badaniach, szczepieniach, mundurowaniu. Pozostało tylko czekać na datę wylotu. Bilety zabezpieczało warszawskie biuro ONZ (UNDP) Umówiliśmy się, że przed wylotem przyjadą do mnie do domu, skąd pojedziemy na Okęcie. Kiedy się rozstawaliśmy, „Długi” stuknął mnie łokciem w bok - *słyszałeś Andrzeja?* Faktycznie, ale myślałem, że się przestyszałem - to przez tę robotę na strzelnicy. Myślisz o tym, że powiedział - ja stamtąd nie wrócę? *Tak, i otarł łzę...*

Chłopaki zjeżdżali się całą noc, a pakowaniu nie było końca. Gdy już wydawało się, że jesteśmy na finiszu, a emblematy zostały przyszyte (chwata koleżance małżonce), Blondyn zaproponował, żeby nie zabierać szyn Kramera używanych do usztywniania złamań. Faktycznie, to cholerstwo zajmowało tyle miejsca i było tak nieporęczne - po co oni nam to dają? Zniosłem je do piwnicy.

## Podróż

Nasza piątka wzbudzała w samolocie wyraźne zainteresowanie. Nie pamiętam już, czy to podczas tego lotu, czy jednego z wielu następnych, o to - gdzie lecimy - zapytał Adaś Michnik. W Wiedniu mieliśmy przesiadkę do Larnaki. Lądując na Cyprze zostaliśmy przejęci przez pracownika

MOVCON - to bardzo pożyteczna instytucja. Jej pracownicy organizują w UN wszystko, co wiąże się z transportem. Wiele razy korzystałem z ich życzliwej i profesjonalnej pomocy. Podążając za gościem, pchając wózki z tobołami, po krótkiej odprawie paszportowej znaleźliśmy się na płycie startowej obok białego ONZ-owskiego AN 24. Okazało się, że samolot i załoga są z Ukrainy - jeszcze kilka razy z nimi latałem. Po prawie 10 godzinach podróży, głodni i spragnieni z wdzięcznością przyjęliśmy po trójkątnej kanapce i kartoniku napoju. Przełykając kęsy, zdążyłem nawet pomyśleć, jaka ta ONZ jest opiekuńcza, gdy steward zaczął zbierać pieniądze - po 8 dolców od łba. Zamieszanie było spore, bo oczywiście nie miał wydać, a my mieliśmy studolarowe banknoty. Jak się później okazało, steward to mechanik pokładowy, a ONZ nie miała nic wspólnego z tym biznesem.

Lot do Bagdadu wspominam jako niekończące się pasmo najpierw wody, później piasków pustyni i trwającego długo przyziemienia. Długość pasa startowego i wielkość lotniska były imponujące. Podczas lądowania nie sposób było nie zauważyć mnóstwa zniszczonych samolotów i rozbitych bezpośrednio trafieniami bunkrów samolotowych. Odprawa była przyjazna. Iracki oficer wkleił do paszportu wizę i prawie płynną polszczyznę zapytał - jak tam dziewczyny w Warszawie? Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy drugi zapytał o pogodę. Obaj studiowali w Wojskowej Akademii Technicznej i jak się okazało - mieli miłe wspomnienia - no cóż, będziemy musieli bardzo uważać. Lotnisko było wojskowe i żeby z niego wyjechać, trzeba było trochę czasu. Patrząc przez okna samochodu „Toyota Coaster” na zniszczony sprzęt, skrzynie z samolotami, których nie zdążono nawet rozpakować - można było sobie wyobrazić piekło bombardowań. Na pagórkach rozsianych na obrzeżu lotniska widać było działka ZU-23-2 i ZSU-23-4 oraz żołnierzy obsługi. Miasteczko przy lotnisku nazywało się Habbanija.

Jazda do Bagdadu to pierwsza możliwość przyjrzenia się „cywilnemu” Irakowi. Mijaliśmy zakurzone drzewa palmowe, jakieś kanałki i tylko czasem ktoś w tej wodzie wymachiwał motyką. Liczne przydrożne stragany przykryto folią albo kawałkiem blachy. Jedne puste, na innych jakieś trudne do określenia towary. Wszystko to niemiłosiernie zakurzone - ruch pojazdów na drodze znaczny. Patrząc zaś na wystawiony w mijanych miasteczkach towar, można by zaryzykować stwierdzenie, że wszyscy tu chcą sprzedać plastikowe miski, wiaderka i konewki w różnych kolorach i rozmiarach, arbuzy i papierosy. Po godzinie jazdy dotarliśmy do hotelu Palestyna w Bagdadzie. Przepych tego miejsca robił ogromne wrażenie. Marmury i wielkość pomieszczeń recepcyjnych sugerował, że pokoje to dopiero będzie „coś”. Ale nie - były przeciętne. Rzucił się natomiast w oczy brak gości hotelowych - widziałem może kilku o wyglądzie niepozostawiającym wątpliwości, co do ich majątkowego statusu. Jeszcze na dole chłopcy skrzyknęli się na basen, później wszyscy mieliśmy zejść, by wrzucić coś na ruszt. Patrzyłem z balkonu ósmego piętra, jak podchodzili do osłoniętego (chyba trzcinowymi matami) obiektu, a następnie zobaczyłem biegnących w ich kierunku mocno gestykulujących „ludków”. Cała ta czereda szybko zawróciła i zniknęła mi z oczu. Zaintrygowany wszedłem pod prysznic, nie zamierzając zbyt szybko rezygnować z orzeźwiającej wody, gdy zadzwonił „Blondyn”, proponując przyśpieszenie obiadu. W słuchawce naszej rozmowie towarzyszyły dziwne odgłosy i dźwięki. Na dole zastałem chłopców z zakłopotanymi minami. Okazało się, że jak już szli

w szortach na basen spostrzegli, że obsługa recepcji gdzieś wydzwaniła - teraz oczywiście wiedzą, że to była panika w czystej postaci. Dopiero przed samym basenem wytłumaczono im, jakiego przestępstwa się dopuścili. To, że przechadzali się po głównym holu w szortach, co jak powszechnie wiadomo jest nieprzyzwoite i niedopuszczalne, uprzejma obsługa recepcji próbowała jakoś usprawiedliwić, ale jak można chcieć pływać w basenie w dniu, kiedy ten jest tylko dla kobiet? - tego nie mogli pojąć. Poinformowano nas, że to bezprecedensowe zdarzenie zgłoszono już menedżerowi - ten na szczęście nigdy nie zareagował.

Obiad w olbrzymiej sali restauracyjnej, w której byliśmy jedynymi gośćmi, był kolejnym doświadczeniem. Wiedzieliśmy, że tutaj nikt się nie śpieszy, ale byliśmy po prostu głodni. Gdy w końcu zaspokoiliśmy pierwszy głód doskonałymi krewetkami, natychmiast złożyliśmy kolejne zamówienie. Wysokość rachunku była powalająca. Za całość zapłaciliśmy przeliczeniowo coś koło paru dolarów. Wszystko wyjaśnił kurs dolara do dinara. Jak się później dowiedzieliśmy, za dolara można było teoretycznie kupić 10 tysięcy litrów benzyny. To było też powodem, dla którego jeżdżąc pomiędzy Bagdadem a Erbillem za zapłatę za paliwo wystarczała puszka coli, a widok nieśpieszącego się pracownika, gdy „pistolet” nie odbijał, a paliwo się przelewało, był normą. Wieczorem zeszliśmy na kolację, zamawialiśmy tylko wyszukane potrawy. Na koniec ciastka, doskonała kawa i *nargilla*.

## W służbie

Rano pojechaliśmy do Canal Hotel, gdzie rozlokowało się nasze dowództwo. Za małe co nieco na śniadanie zapłaciliśmy dużo więcej niż w hotelu - ceny były po prostu normalne. Do południa mieliśmy pobrać umundurowanie. Koszule niebieskie z krótkim i długim rękawem, typowe dla amerykańskiej policji, granatowe spodnie z czarnymi lampasami, kurtka „niby zimowa”, dwie niebieskie bejsbolówki. Zapytałem o buty - *sam sobie kup* - usłyszałem od magazyniera. Jako jedyny zabrałem brązowe sandały, chłopaki przypadkowo mieli czarne półbuty - w moich wyglądałem przy nich przedziwnie. W naszych nowych mundurach poszliśmy zrobić zdjęcia do *ID*. Na ścianie pomięte, raczej szare, prześcieradło. Wyraźnie „lokalec” zrobił zdjęcia „z ręki” zwykłym aparatem. Fotki i gotowe dokumenty mieliśmy otrzymać jutro. Pierwsze spotkanie z szefem kontyngentu zawsze robi wrażenie. Duńczyk czuł nasze napięcie, ale szybko zauważyliśmy jego przyjazne nastawienie. Przepytował o nasze doświadczenie zawodowe i wcześniejszą służbę na Bałkanach. Mówił o czekających nas zadaniach, zapoznał ze strukturą Kontyngentu Straży. Rozmowa zeszła na luźne tematy, słowem - było dobrze. Brylował „Blondyn”, prowadząc dyskusję w taki sposób, że często pozostawało nam tylko się śmiać. Dowiedzieliśmy się, że rotacyjnie sektory przysyłają do kwatery głównej oficerów „na radio”, no cóż, zobaczymy. Jeszcze dwa dni spędziliśmy w Bagdadzie czekając na transport. Mieliśmy czas - może więc ruszymy na miasto? To doskonała okazja do zwiedzania - taka chwila może się nie powtórzyć. Czekając na taksówkę, skorzystaliśmy z oferty młodego gościa proponującego „prywatnie” podwózkę. Koleś został naszym bagdadzkim kierowcą do końca pobytu. Od początku przeczuwaliśmy, że to nie był przypadek, ale z dwojga złego zawsze to lepiej zdecydować się na kontrolowaną opiekę służb niż wpaść

w nie wiadomo czyje sidła. Nasza czujność się wzmożła, gdy po ostatniej kolacji, kończąc *nargillę*, Andrzej pokazał mi karteczkę. Dostał ją od niczego sobie kelnerki, o której mój dobry kolega by powiedział - *organizm by nie odrzucił*. Kręciła się przy nas od początku. Gdy płacił rachunek, szepnęła mu, że gdyby kiedykolwiek wpadł do Bagdadu, to chętnie go przyjmie w swoim domu. Na karteczce był adres, imię i numer telefonu - uff, jak gorąco.

Sektor przysłał po nas swojego coastera, którego historię wkrótce usłyszeliśmy. Droga do Erbilu (Arbil) zajmowała 5-6 godzin. Z zaciekawieniem przyglądałem się przedmieściom metropolii. Szarzyzna przydrożnych palm i góry śmieci. Od czasu do czasu *check pointy* - oczekujące w kolejce samochody mijaliśmy bez kontroli, kolejka nas nie obowiązywała. Mnóstwo starych VW passatów, czasem toyoty crown i pikapy. Wnętrza pojazdów wyłożone owczymi skórami - taki arabski wynalazek na upał. Zieleń powoli się kończyła i natężenie ruchu malało. Byliśmy praktycznie sami na drodze, gdy drogę prostopadle przeciął nam passat jadący z dużą prędkością. Kierowca podpowiedział, że trzeba uważać, bo tu nikt nie przejmuje się przepisami. Dojechaliśmy do Mosulu. Znowu punkt kontrolny. Żołnierze przyglądali nam się z zaciekawieniem, ale kontroli nie było - kierowca stwierdził: *oni tu doskonale wiedzą, kto jedzie, dokąd jedzie i przestrzegł - żadnych aparatów i zdjęć. Ostatnio jak jechaliśmy, to trzymali nas ze cztery godziny, bo jeden z Czechów wyjął aparat - tylko wyjął, zdjęcia nie zdążył zrobić, dochodzenie trwa nadal, wszędzie szukają szpiegów i są „crazy” na tym punkcie*. Mosul minęliśmy bokiem, po kilkunastu kilometrach olbrzymi kamiennie-betonowy kompleks-więzienie, rzuca kierowca. Podobno jeszcze godzina jazdy. Po lewej i prawej stronie drogi kilkadziesiąt okopanych czołgów, typowa obrona okrężna. Zdziwiająca jest to, że żołnierzy jak na lekarstwo. Przejeżdżamy przez most, ostatni punkt kontrolny i zostawiamy Saddama za sobą - byliśmy po kurdyjskiej stronie.

Dowództwo sektora Arbil mieściło się w piętrowym domu z tarasem na pierwszym piętrze. Całość była częściowo ogrodzona murem, wewnątrz znajdował się duży parking. Klient w szarawarach, odstawiwszy kałacha nieśpiesznie, sprawdzał podwozie lusterkiem. Zauważyłem tłumek ludzi. Wkrótce nas otoczyli. Poklepywaniom i pytaniom nie było końca. Ale gdzie Polacy - są, podeszli - Jurek, Romek, przedstawili się - jesteśmy lekarzami. Ale między nimi znowu zaczęli przepychać się Czesi i Słowacy. Chyba byli święcie przekonani, że wszystko rozumiemy - nikt nie mówił po angielsku, co spuentował Andrzej - *a tak chciałem poprawić język*. Minęło parę minut, a ci nadawali jeden przez drugiego. W końcu usłyszeliśmy: *do dowódcy*. Prowadził Jurek. Jestem Lars - mały rudy człowieczek nie tracił czasu. W Arbilu zostają Marek i Andrzej. Do Dohuku jadą „Długi”, „Blondyn” i „Maruda”. Coś tam jeszcze mówił, ale nie za długo. Wkrótce pożegnaliśmy się z naszą trójką. *Ze względów bezpieczeństwa chałupę musicie wynająć jak najbliżej dowództwa, może też uda wam się podłączyć do stacyjnego generatora, zawsze to chociaż jedna żarówka w domu. Prąd włączają dwa, czasem trzy razy w tygodniu na parę godzin* - informacje Jerzego łykamy w drodze do pierwszego zaoferowanego nam domu. To połowa bliźniaka - trzy pokoje, kuchnia. Nasz opór budził kibelek, ale - jak się dowiedzieliśmy - europejskiej wersji nigdzie tu nie znajdziemy. Decyzja zapadła natychmiast, weszliśmy „w temat”, nie będziemy szukali dalej, tym bardziej że będziemy mieszkali blisko siebie. Jurek jest lekarzem chorób tropikalnych, a Romek chirurgiem ortopedą. Już wiemy, że chłopaki są spoko. W imieniu właściciela warunki umowy twardo negocjował syn, był tłumaczem na stacji. Byliśmy

już gotowi na nie przystać, gdy wtrącił się Jurek, mówiąc, że tu tak nie można. Z jego pomocą zesliśmy z kosztów prawie o połowę - to była cenna lekcja. Zgodziliśmy się też na *housekeepera* - to Asti, syn właściciela.

Na „zagospodarowanie” mieliśmy dwa dni. Wieczór spędziliśmy u lekarzy. Rozmowom nie było końca. Ustaliliśmy z Jurkiem, kto jest kto - oficjalnie, to on będzie dowódcą polskiego kontyngentu, co oznaczało, że będzie reprezentował wszystkich Polaków. Dlaczego takiej sytuacji nikt nie przewidział w kraju? Albo nasze ministerstwa mają ważniejsze sprawy na głowie, albo się czepiam.

Po raz pierwszy piłem arak - może być. Nie mogłem spać, w kuchni zastałem Andrzeja, też nie mógł - do rana prowadziliśmy nocne Polaków rozmowy. Nowy dzień pozwolił spokojniej przyjrzeć się miejscu pobytu i chłodniej ocenić pewne sprawy. Po porannej odprawie dostaliśmy motorole i nadano nam kody wywoławcze. Jestem teraz Echo Papa - 1, a Andrzej Echo Papa - 2. Do końca naszego tu pobytu dla naszego bezpieczeństwa będziemy wywoływani rano i wieczorem.

Wróciliśmy do domu. Zbudowany z małych betonowych bloczków, ściany cieniutkie, w oknach kraty i cienka siatka. Otoczony murem z pustaków, stalowa brama i drzwi wejściowe. Odkryliśmy obok fabryczkę lodu, przy niej jakieś bajoro i kałuże. Czy to z powodu komarów wylęgających się w nich mamy te siatki w oknach? - czas pokaże. Po południu pierwsza awaria kanalizacji, potem następna. W końcu dotarło do nas, że papieru toaletowego naprawdę nie można spuszczać. Rurki odprowadzające ścieki nie były do tego przystosowane. Czy naprawdę będziemy zmuszeni do korzystania ze „skoczni” i plastikowych konewek z wodą? Przyszła służba zdrowia. Chłopaki przynieśli zgrzewkę wody i tabletki do uzdatniania wody. Na dachu dwa „tanki”. Wsypaliśmy chemię bacząc, żeby nie dosypać właścicielom. Okazało się, że na nasze toaletowe problemy był sposób - plastikowe wiaderko z pokrywą. Do dzisiaj pamiętam moje opory, gdy podnosiłem tę pokrywkę. ONZ nie zapewniała pomocy w zakupie środków do życia. Ale na to znaleziono sposób. Raz na dwa tygodnie sporządzano listę, a zamówiony towar sprowadzał z Iranu - sobie tylko znanym sposobem - sklepikarz. Asortyment był ograniczony, ale dało się wyżyć. Najważniejsza była woda. Przy pierwszych objawach ze strony przewodu pokarmowego pobierano „kupencję” na badanie w kierunku amebozy. Romek krótko opowiedział o komponencie medycznym. Nasi lekarze, podobnie jak pielęgniarki są tutaj i w Dohuku, panią Wiesię poznać jutro. W Sulejmanii pielęgniarką jest Czeszka.

Ankawa, gdzie mieszkaliśmy, była bogatszą częścią miasta. Domy i domki w większości były ogrodzone szarymi murkami - w nich stalowe bramy i furtki. Zabudowa była raczej „ciasna”. W przydomowych ogródkach królowały przykurzone drzewka pomarańczowe i winorośl. Tarasy na piętrach były tak zabudowane, że obserwacja domowników z ulicy nie była możliwa. Złożenie zamówienia było okazją do poznania właściciela sklepiku spożywczego. Kiedy wychodziliśmy na ulicę, zostaliśmy zaproszeni przez sprzedawcę z naprzeciwka - zatrzymaliśmy się tu dłużej. Handlował głównie zegarkami. Oferta była bardzo bogata „katalogowo” i raczej skromna w realu. Jak nas poinformował, Saddam obdarowywał ojców oficerów poległych w wojnie irańsko - irackiej złotymi zegarkami „Tissot” ze swoją podobizną. Niewątpliwie byłaby to fajna pamiątka, ale tak jakoś czułem się dziwnie, trzymając w dłoni bezimienny „certyfikat” czyjejś śmierci. W ofercie były też czasomierze zrabowane przez armię iracką w Kuwejcie - ciekawy początek służby.

Idąc do chłopaków na obiad dowiedzieliśmy się, że Saddam każdemu oficerowi w dniu promocji dawał samochód „VW Passat” - stąd na ulicach takie ich zatrzesienie i prawie wszystkie pomalowane

w pomarańczowe akcenty, białe taksówki pochodzą z tego źródła. *A z tymi zegarkami to... Jeśli już, to trzeba uważać, podróby wszystkiego są na porządku dziennym. Jak się zdecydujecie... To jest taki sklep w Dohuku...* Otwierając furtkę, Jerzy machnął ręką na przejeżdżającego rowerem chłopca. To dostawca *pity*, przepysznych arabskich chlebków. O każdej porze dnia można liczyć na jeszcze ciepłe pieczywo z domową dostawą...

W przyspieszonym tempie chłoniliśmy z Andrzejem każdy, nawet najdrobniejszy strzęp informacji.

## Coaster

Na porannym apelu poznaliśmy pozostałych kolegów. Duńczycy byli w mniejszości i „okupowali” stanowiska, o których wszystko można by powiedzieć, ale nie to, że należą do najniższych w strukturze kontyngentu. Czesi i Słowacy to oficerowie dyżurni, operacyjni i jak my *patrolmeni*. Jako nacja przeważali stanem liczebnym. Czuło się, że humorem, „zawadiactwem” i chęcią niesienia pomocy tworzą pozytywną atmosferę. Nepalczyków, Filipińczyków i Pakistańczyków było po kilku. Gdyby nie nasi lekarze, nasza dwójka stanowiłaby etnograficzną ciekawostkę. Zostaliśmy przydzieleni do osobnych zespołów. Moim, trzyosobowym dowodził Dalibor, a Nepalczyk Raj okazał się być całkiem do rzeczy kompanem. Na parkingu, pokazując mi czynności obsługowe, jakie przed każdym wyjazdem „w teren” trzeba wykonać, kiwnął głową pokazując na stojącego obok coastera - *Marek, popatrz na ślady pocisków* - jakie ślady pocisków? Mrużąc oczy od słońca „włampiałem” się w autobusik, nie mogąc nic dostrzec.

Z przodu, z przodu obok kierowcy - liczę otwory, naliczyłem trzy w lewym słupku. Widząc moją zawiedzioną minę kontynuował - szyby i opony wymieniono na nowe. Wysłuchałem historii, której nie powstydziliby się film akcji. Otóż, wracając z Sulejmanii dziewięciu naszych jadących nim, wpadło w zasadzkę. Kierowca prowadził zygzakiem do momentu, kiedy przestrzelone opony pozwalały już tylko na jazdę na wprost. Wtedy dostali z granatnika. Przeciwpancerne pociski raketowe przeleciały przez tylną, następnie przednią szybę i eksplodowały na zboczu. Szczęśliwie dla pasażerów, szyby były zbyt „miękkie” dla broni przeciwpancernej. Kilkanaście kilometrów gnali na felgach.

Cza - Cza, polska pielęgniarka, była wtedy na pokładzie. Jak się później dowiedziałem, to jej Austriak zawdzięczał życie, które już do końca spędzi na wózku inwalidzkim - dostał w kręgosłup. Myślałem, że historię tego zdarzenia sprzedam po południu Andrzejowi, ale okazało się, że tę i parę innych już znał. No cóż, lubię barwne i ciekawe życie, ale żeby rakiety? Kuźwa, gdzie my jesteśmy?

## Klub

Idziemy do klubu „zrobić” powitalne party. Klub to instytucja utworzona przez naszych poprzedników, którzy zapewne zorientowali się, że zapiją się na śmierć, jeżeli sami nie wymyślą

sposobu na zagospodarowanie czasu wolnego w cywilizowany sposób, to nikt inny za nich tego nie zrobi. Na koszt misji wynajmowano dom, w którym ochotnicy pełnili miesięczne dyżury. Trochę niesprawiedliwie byli nazywani barmanami, bo oprócz tej jakże ważnej czynności, zajmowali się stroną finansową przedsięwzięcia i dokonywaniem niezbędnych zakupów. Mieliśmy do dyspozycji dwa stoły bilardowe w stanie używalności, telewizor w roli rekwizytu, bo nikt nie znał irańskiego i tureckiego oraz sprzęt radiowy pozwalający słuchać muzyki z bliższego naszym sercom i uszom obszaru kulturowego. W kuchni zatrudniony był miejscowy kucharz przygotowujący obiady, na które można się było zapisać z jednodniowym wyprzedzeniem. Wpisowe stanowiło 100 zielonych rozliczanych raz w miesiącu. Z powodu niedostatku małych nominałów wspaniale funkcjonowała instytucja zapisywania „na zeszyt”. Z trunków były alkohole i piwo, a z napojów soki i cola. Cały towar pochodził z Turcji lub Iranu. Na przygotowanie prawdziwego „party” nie mieliśmy czasu ani dostatecznej wiedzy w temacie. Ale jak się dowiedzieliśmy, był na to sposób - dzwon, który wisiał nad barem. Każdy, kto go użył, informował wszem i wobec, że stawia wszystkim kolejkę, a barman obciążał jego konto, w tym przypadku moje. Tak było w przypadku imienin, urodzin czy też zwykłej chandry. Czesi przynieśli gitary. Gdzieś tak po godzinie zaczęli śpiewać w kółko tę samą piosenkę, a sala refren. Parę minut przed godziną dwudziestą jakoś wszyscy ucichli wyraźnie czekając na coś. Sytuacja za chwilę się wyjaśniła. Wszystkie motorole zapowiedziały sprawdzenie łączności - stała procedura. Oficer dyżurny wywoływał każdego z nas, a my potwierdzaliśmy obecność. Trochę to trwało, w klubie było ponad dwudziestu chłopów. Integracja przełamała lody i do północy pozwoliła nam zbratać się z prawie wszystkimi, a także sporo się dowiedzieć. W temacie party, Ulrik sprzedał mi informację, że czasem ludzie zamawiają u kucharza pieczoną świnie, *no wiesz taką dziką świnie z pola, bo tu nikt świń nie hoduje*. To jak oni je łapią? - *snajper*. Równie o północy „bez komendy” towarzystwo zaczęło się związać i po paru minutach nie było już nikogo - jutro też jest dzień.

## Dzień po dniu

Pierwsze tygodnie przeznaczone na zapoznanie się z regionem pamiętam jako niekończący się zachwyt nad wspaniałą przyrodą i ludźmi, którzy - mieszkając często w miejscach oddalonych od większych skupisk ludzkich, ciężko doświadczeni przez iracką armię - mieli jeszcze ochotę na uśmiech. Wysoko w górach kobiety o pięknych twarzach nie były czymś niezwykłym. Ich mężowie wprowadzali mnie w zakłopotanie, częstując najpierw papierosem podawanym „z ręki”, a gdy odmawiałem - na jakiś czas rzuciłem nałóg - wodą w metalowej czarce, za którą też musiałem podziękować, bo przecież ta cholerna ameba. Ja ich najzwyczajniej obrażałem, ale jak miałem przeprosić bez tłumacza? I nigdy, ale to nigdy nie zapomnę uśmiechu kobiety niosącej wiązkę chrustu na głowie, za którą na osiołku podróżował zapewne pan i władca. Jak mam z Zośką na pieńku, to tak czasem sobie myślę...

Patrole, eskorty konwojów z humanitarną pomocą i służba oficera inspekcyjnego na prawie rok stały się moim głównym zajęciem. Zaczynaliśmy od 07.00 poranną odprawą. Obowiązywała żelazna zasada - do godziny 15.30 wszystkie pojazdy powinny wrócić do bazy i stać zatankowane, gotowe do wyjazdu w dniu następnym. Zadaniem patroli było sprawdzenie przejezdności dróg. Na podstawie naszych radiowych meldunków służba dyżurna ogłaszała dzienny *radio announcement* dla

pracowników organizacji międzynarodowych działających w regionie. Jozef, czyli „po naszymu” Józek podsumował to tak - *w Somalii lataliśmy wiatrakiem nad drogami, a tu sami musimy na to gównem najechać, żeby sprawdzić tę pierdoloną przejezdność*. Nie mając żadnych technicznych możliwości, czy podłożono ładunki wybuchowe, pytamy czasem miejscowych - *muškila?* problem? - i uzyskujemy odpowiedź *ma fi muškila*, nie ma problemu. Towarzyszy temu rodzaj klaskania, z którego ma wynikać, że jest czysto, zagrożenia nie ma. Minowanie dróg nasiliło się, gdy zaczęto używać japońskich maszynek zaprojektowanych do pobierania próbek asfaltu.

Eskortowanie konwojów było ciężkim kawałkiem chleba. Z kierowcami ciężarówek i ich sprzętem był zawsze problem. W jedną stronę, wioząc z Turcji przez Dohuk i Mosul do Arbilu międzynarodową pomoc humanitarną dla Kurdów, musieli przejechać przez saddamowski Irak. W drodze byli narażeni, jeśli nie na utratę życia, to na bezpowrotne zniszczenie pojazdu, gdyż jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności zdarzało się, że zbiorniki paliwa ciężarówek wybuchały już po stronie kurdyjskiej. W kwaterze znajdowała się wcale niemała kolekcja pozostałości po chemicznych ładunkach zapalających, umieszczonych wcześniej w zbiornikach spalonych pojazdów. W drodze powrotnej, szczególnie po przekroczeniu Dohuku, próbowali urywać się, chcąc być pierwszymi w kolumnie i oczywiście na granicy. Starano się temu zaradzić, konfiskując paszporty, które były wydawane w Dohuku w kolejności, w jakiej pojazdy opuszczały Erbil. Stan techniczny niektórych pojazdów nie pozwalał na utrzymanie stałej prędkości, co doprowadzało do szewskiej pasji kierowców mających sprawne pojazdy, tym bardziej że zawsze znalazł się zawalidroga, który miał trudności z podjechaniem pod pagórek zalany mazią ropy z pseudocystern przewożących ropę z Iraku do Turcji w ramach programu ropa za żywność.

W Ankawie mieściły się siedziby wielu organizacji niosących pomoc Kurdom. Przyznam, że nigdy nie miałem serca do służby oficera inspekcyjnego, którego rolą było sprawdzenie, czy ochraniający je peszmergowie (kurdyjscy wojownicy śmierci) są obecni w przewidzianym grafikiem składzie. Z daleka widzieli nadjeżdżający pojazd i - mając czas na ogarnięcie się - w większości przypadków nie próbowali nawet ukryć widocznych oznak dopiero co przerwanego snu. Pomieszczeniami, w których pełnili służbę, były malutkie budki z pustaków. Najczęściej dowódca zmiany wychodził mi na spotkanie, co natychmiast spotykało się z moim uznaniem, dziękowałem więc dłonią za okazany szacunek i jak profesjonalisci rozstawaliśmy się nie zamieniając słowa. Pamiętam, że w jednej z „lokacji”, gdzie mieszkała i miała swoje biuro kobieta, obecność oficera inspekcyjnego była ledwie tolerowana. W drugiej zaś z powodu upodobań rezydenta bardzo pożądana - staraliśmy się więc tego pana unikać jak ognia. Wspomniana pani była zapewne przeświadczona o swoim szczególnym statusie w organizacji, którą reprezentowała i miała niezachwianą pewność, że skierowano ją na to zadupie wyłącznie z powodu wyjątkowej misji do spełnienia. Przed jej domem stał duży namiot, w którym trzymała kilkanaście zwierząt, w tym sarenki - smród ułatwiał lokalizację. W rezydencji zawsze przebywał przystojny, chyba osobisty sekretarz, wyraźnie swoim zachowaniem dający do zrozumienia, że nic tu po mnie. W powszechnym odczuciu i pani, i pan byli na dobrze płatnym zesłaniu.

# Kurrak

Aby dotrzeć z Arbilu na szczyt tej góry, trzeba pokonać około 60 kilometrów i minąć miejscowość Salah, do której z jednej strony wiedzie stromy i raczej krótki zygzakowaty podjazd, natomiast z drugiej, zygzak drogi jest niemiłosiernie rozciągnięty. Kolejnym miastem jest Shaqlawah leżące mniej więcej w połowie drogi. Tu jest bardziej zielono, widać pola uprawne i drzewa. Jadąc dalej, droga wyraźnie skręca w lewo. To konieczne, aby ominąć wyglądający potężnie wał masywu górskiego rozciągającego się od prawej do lewej strony. W nim jaskinia widoczna z wielu kilometrów. Można przyspieszyć - na długim odcinku nitka asfaltu jest prosta. Mijamy przydrożne osiedla, aby w końcu znaleźć się z drugiej strony przeszkody. Moją rozmowę z Daliborem od czasu do czasu przerywały dochodzące z drugiej klasy beknięcia Raja. Nie zwracałem na to specjalnej uwagi do momentu, kiedy puścił takiego „bengala”, że gdybym nie słyszał, to bym pomyślał, że mamy jakieś kłopoty z instalacją elektryczną. Co robisz pytam? Jak tak możesz? - popatrzył jakoś tak zdziwiony.

Na szczyt prowadzi nas wąska droga asfaltowa, której ciut gorsza kondycja u podnóża nie stanowiła dla naszego nissana patrola problemu. Nic specjalnego, pomyślałem, patrząc na widoki po prawej stronie, lewą było skaliste zbocze. Minęliśmy jednoosobowy posterunek - pozdrowiliśmy się przyjaźnie. Dojeżdżamy - ostatnia prosta, po lewej przytulone do zbocza budynki, zakręt w lewo i jesteśmy na miejscu. Płaski, chyba celowo ścięty szczyt i kopuły obserwatorium astronomicznego. Skala przedsięwzięcia robi wrażenie. Jak oni to wszystko tu wtargali? Podchodzę do miejsca, skąd widać drugą stronę góry - wspaniały widok wynagradza wspinaczkę. Zwyczajowe „zaparło dech w piersiach” nie może oddać tego, co poczułem patrząc na strome granie i osuwiska w kierunku leżącego daleko w dole miasta Rawanduz. Medytowałem nad grozą surowych skał, gdy pojawili się przy nas peszmergowie. Idziemy na ich stanowisko, skąd jest lepszy widok. Łamaną angielszczyzną opowiadają, że kilka dni temu odparli atak prowadzony pod górę z tego kierunku. Jaki atak? Jak to możliwe, żeby pod taką górę? - patrzę w dół z niedowierzaniem. Prowadzą nas do największego budynku - to obserwatorium. Masa równo wylanego betonu, napisy „Zeiss” wszystko wyjaśniają - solidna, niemiecka robota. W olbrzymiej kopule dwie dziury po irańskich rakietach. Nie do końca rozumiemy, mówią też coś o Amerykanach. Obok, dwa mniejsze obserwatoria - nie decydujemy się na zwiedzanie. Dalibor pokazuje mi nasz przekaźnik. Mała skrzynka, antena i dwa akumulatory. Dzięki temu małemu urządzeniu mamy nawet tu, na wysokości dwóch tysięcy metrów łączność z bazą. Wchodzimy do małego pomieszczenia.

Wokół beton, koce i piecyk na naftę - w takich warunkach mieszkają peszmergowie, którzy pilnują przekaźnika. Prowadzę pojazd z powrotem. Zatrzymuję się przy gościu z kałachem, stojącym na drodze obok stanowiska, które mijaliśmy jadąc pod górę - pozdrawiał nas z daleka i nie wypadało jakoś go tak po prostu ominąć. Widzę mały mózdzierz i na ziemi trzy granaty.

Zauważa moje zainteresowanie. Podnosi jeden, przykłada do wylotu lufy i machając do mnie drugą ręką zachęca bum, bum? - nie, dziękuję. Zjazd w dół trwa moment. Dalibor coś tam opowiada,

gdy odgłos potężnego bąka niemal wypycha szyby na zewnątrz. Gwałtowne hamowanie i - nie czekając na fetor wyskakujemy - z samochodu. Raj gramoli się zdecydowanie wolniej i tak, jak poprzednio pyta - *co się stało?* Miałem tego dość. Nie zdążyłem dokończyć kwiecistej frazy, gdy chwycił mnie pod ramię mówiąc - *nie denerwuj się, nie wiedziałem, ale powiedz mi, jak wy możecie się powstrzymać? przecież to szkodliwe dla zdrowia.* Dotarło do mnie. Całe życie człowiek się uczy. Ale faktycznie... jak można tak sobie szkodzić?

## Zakho

Aby zadzwonić do kraju, można było skorzystać z telefonu znajdującego się w pomieszczeniu służby dyżurnej, płacąc siedem dolców za minutę rozmowy lub jechać do Zakho przez Dohuk, gdzie opłata wynosiła dwa dolce. Siłą rzeczy aspekt ekonomiczny wygrywał. Ponieważ wyjazdy służbowe do sektora Dohuk nie były częste, organizowane były wyjazdy ad hoc, jeśli tylko zebrała się grupa chętnych. Podróż w obie strony około 300 kilometrów zajmowała cały dzień. Skorzystałem z pierwszej nadarzającej się okazji i zabrałem się ze Słowakami, zamierzając niejako przy okazji odwiedzić chłopaków. Toyota crown dała naprzód z mocą, jaką fabryka dała, dopóki nie przekroczyliśmy linii rozgraniczenia. Będąc już po stronie saddamowskiej, z zainteresowaniem przyglądałem się obronie okrzężnej czołgów. Od czasu, gdy widziałem je okopane po raz pierwszy, nic się nie zmieniło. Znowu poszukiwałem wzrokiem żołnierzy, ale oprócz sprzętu nikogo nie zauważyłem. Mosul to rozległa metropolia. Żeby się przedrzeć przez niesamowicie zatłoczone skrzyżowania, potrzeba czasu i zdecydowanych manewrów. Ważniejsze od kierunkowskazów są ręce zwisające niby ot tak sobie na zewnątrz drzwi i obserwacja dłoni, którymi kierowcy sygnalizują swoje zamiary. Co bardziej nerwowym i niecierpliwym pokazuje się „szłęja - szłęja” (zaraz, czekaj, uspokój się), czyli powolnie kołysze ręką z charakterystycznie ściśniętą dłonią. Dochodzę do wniosku, że na ryczące klaksony nie ma co zwracać uwagi, bo używane są bez opamiętania tym bardziej, że nie przeszkadzają ojcu narodu patrzącemu na swoje owieczki z wszechobecných portretów.

W końcu opuszczamy Mosul przejeżdżając przez dwa punkty kontrolne. Odcinek do Dohuku pokonujemy szybko. Patrząc na posterunki wojskowe rozmieszczone wzdłuż drogi, jakieś umocnienia i olbrzymi poligon czołgowy - jak rozmach to rozmach. Wrażenie robi osiedle domów oficerskich - widać, że nie liczone się tu z kosztami. Przez radio słyszę „Długiego” - ma dzisiaj dyżur, zapowiadam się, że wpadnę. Ostatnie kilometry do Zakho to mordęga. Tędy wywozi się z Iraku ropę w ramach programu ropa za żywność. Asfalt zlany czarną mazią. Do cystern zalicza się też ciężarówki, w których za zbiorniki „robią” marnie zespawane skrzynie. To z nich wycieka ropa. Mijamy zepchnięte do rowów pojazdy, które nie wytrzymały morderczej pracy i zakończyły tu swój żywot. Jak było widać i czuć, przewożonej ropy nie usunięto ze zbiorników.

„Centrala telefoniczna” to kilka zadaszeń na pagórku pod miastem. Na stolikach sprzęt łączności satelitarnej. Jakieś kable, słychać generator. W niebo patrzą czasze anten wielkości pokrywek od garnków. Nieliczna obsługa tego biznesu wygląda trochę podejrzanie. Dzwonię do domu, rozmawiając nie dłużej jak 15 minut - co słychać? jak dzieci? - rozmowa wyraźnie się nie klei - Zośka nigdy nie była wylewna.

W Dohuku odwiedzam chłopaków. Dowództwo sektora mieści się w domu przylegającym do wysokiego zbocza, w mniejszym obok mają swój klub. „Długi” prowadzi mnie „na kwaterę”. Schodki na górę, w przedpokoju buty, w środku gazety - standard, przebiegła mi szybka myśl. Pojawiają się „Blondyn” i „Maruda”. Zajadam pysznego arbuza. Wchodzi Zbyszek, lekarz - nie wiedziałem, że z nimi mieszka. „Blondyn” krótko opowiada o sytuacji. Robota taka sama, myślę, tylko konwojów nie mają. Motorola nie daje zapomnieć, że pora wracać - zbiórkę do wyjazdu zarządzają Słowacy. Trzeba pamiętać o korkach w Mosulu. Robimy niedźwiedzia, zapraszam do siebie.

## Deptak

Wyszliśmy z domu mając w planach kebab zamiast kolacji w domu. Nocą nigdy nie zapuszczaliśmy się daleko, jakie więc było nasze zdziwienie, gdy zobaczyliśmy tłumy przechadzających się młodych ludzi - chłopaków w wyglansowanych butach i pary dziewcząt trzymających się za ręce. Spacerowali ulicą, zerkając na siebie. Wybraliśmy dość zatłoczony „lokal”, ale nie czekaliśmy nawet chwili. Obsługa wyłuskała nas spośród gości i zostaliśmy posadzeni przy stoliku obok kręcącego się mięsiwa. Za chwilę już się nim zajadaliśmy, popijając herbatą. Na talerzykach podano też cebulę i paprykę, ale z wiadomych względów nie skosztowaliśmy. Przegryzając kebab piłą z ciekawością się rozglądaliśmy, sami pewnie też stanowiąc niemałą atrakcję. Ulica okazała się popularnym deptakiem. Zrozumieliśmy znaczenie tego spacerniaka, pamiętając Astiego, który zapytany dzień wcześniej o powód podróżowania z siostrą osobnymi taksówkami, odpowiedział - *w Ankawie moglibyśmy jeździć jedną, tu nas znają, ale byliśmy dalej i mógłbym popsuć siostrze reputację*. Pary zakręcały przy naszej knajpce i mieliśmy przegląd sytuacji. Wszystko działo się ot tak sobie, od niechcienia i było raczej pewne, że wszyscy się tu znają.

Z sąsiedniego stolika hipnotyzował mnie wzrokiem gościu, którego znałem, ale nie mogłem skojarzyć skąd. Chętnie skorzystał z zaproszenia. Gdy się przysadał, już wiedziałem - to ten od sauny - pracuje jako menedżer w niemieckiej organizacji pomocowej, poznałem go podczas inspekcji. Nie rozpoznałem go, gdyż „zrobił się” na wyjściowo. Na piętrze domu, w którym ma biuro, znajdują się dwie małe sauny. Pokazywał mi je, zapraszając jednocześnie do skorzystania. Był jedynym spośród znanych mi szefów troszczących się o pilnujących jego dobytku peszmergów. Kiedy częstował mnie herbatą widziałem, że dbał również o nich. Rozmowa zeszła na historie rodzinne i jego brata pracującego w Niemczech. Wybierał się do niego za parę miesięcy, gdyż kończył mu się kontrakt. Przesiedzieliśmy rozmawiając do późna i wypiliśmy niezliczoną liczbę herbatek. Wracaliśmy do domu mając przed i za sobą dwie pary dziewcząt. *A jednak ze sobą rozmawiają* - zauważył Andrzej - gdy usłyszeliśmy pytanie chłopaka idącego pod prąd z drugiej strony ulicy i odpowiedź dziewczyny idącej przed nami. W zaułku przed naszą bramą stał chłopak z dziewczyną, byli blisko siebie.

Herbata spowodowała, że nie spałem tej nocy. Rano na odprawie sensacja. Na deptaku w starej ładzie znaleziono 150 kilogramów materiałów wybuchowych. Przechodzień usłyszał podejrzany odgłos z bagażnika pojazdu i zauważył dym. Przybyli na miejsce saperzy ustalili, że zawiódł zapalnik

i tylko dlatego nie doszło do eksplozji. Poczułem się, jak na prawdziwej wojnie. Jakieś ostrzegawcze sygnały zaczęły mną telepać, ale wszystko szybko wróciło do normy.

## Minaret

W centrum Erbilu, u podnóża góry, na której znajdowały się ruiny starej cytadeli, znajdował się bazar - suk. Pojechaliśmy tam zrobić zakupy przed wyjazdem do kraju na urlop. Chciałem kupić jakieś przyprawy, może kardamon do kawy, no i oczywiście czapeczki na prezenty. Prawie natychmiast zostaliśmy otoczeni czeredą żebrzących dzieci. Nie byłoby problemu, gdyby podarowane parę dinarów było końcem napastliwego zachowania, ale nie, nie odpuszczały ani na moment. Szarpanie za koszulę nie ustawało nawet na chwilę. Sprawa rozwiązała się w nieoczekiwany sposób. Dziewczynka, tak na oko dwanaście lat, chwyciła za mankiet marynarki miejscowego piękniśa, który nie wytrzymał i uderzył ją w twarz. Mała padła, lamentując. Natychmiast pojawiło się kilkanaście osób, patrząc groźnie na młodzieńca, a niektórzy coś tam nawet pokrzykiwali. Gościu, kilkakrotnie sięgał do portfela i wciskał dziecku banknoty - dała się udobruchać. No cóż, religia nakazuje wspierać potrzebujących, a on o tym wyraźnie zapomniał.

Wybór przypraw w większości mi nieznanymi był imponujący. Usypane w wysokie stożki kusity magią barw i zapachem. Kupiłem kardamon i kilkanaście bajecznie kolorowych kobiecych czapeczek. Jedne weselne i paradne, inne do codziennego noszenia. Te paradne były niesłychanie sztywne, zapewne z powodu drucianych kolorowych nitek, z których były utkane, taka mała skorupa - ale jak wyglądały! Chłód tego miejsca nie zachęcał do wyjścia, ale ja po prostu musiałem do toalety. Wydawało się, że poszukiwania nie rozwiążą mojego problemu, gdy znaleźliśmy się przed minaretem. Nie wiem co mnie tknęło, że zagadnąłem do przechodzącego duchownego. *Nie wie pan, gdzie mógłbym skorzystać z toalety?* Skinął głową, żeby iść za nim i tak znalazłem się wewnątrz ogrodzenia. Mój wybawca zaprowadził mnie na rodzaj podwórza wyłożonego marmurowymi płytami. Przed sobą widziałem z podobnego materiału niewysoki murek, a w nim dużo ciekących kranów umieszczonych tak na oko na wysokości 30 centymetrów. Po co te krany? I czemu tak nisko? Widząc moje niezdecydowanie, mężczyzna stanął na podwyższeniu lekko oddalonym od ściany i biegnącym wzdłuż niej, przysiadł, wyjął swój „majestat”, zrobił siusiu i przyrodzenie umył wodą. Genialne, no kuźwa, genialne. W tym upale tylko tak da się zachować higienę - i te ich szarawary są do tego przystosowane. Bładość lic moich musiała zniknąć, tak mi się poprawiło. Ucisnąłem dłoń mojego nauczyciela, który wyraźnie też był zadowolony. Rozstaliśmy się, uśmiechając do siebie. *Co tam?* - zapytał Jurek. *Kuźwa nic, nie mogłeś mi powiedzieć, jak to się tutaj robi?* Opowiedziałem im moją przygodę i do dzisiaj nie wiem, czy słyszeli o tym po raz pierwszy, czy też dyplomacja nie pozwoliła im na przyznanie się do tego.

# Pierwszy urlop

Dojeżdżamy z „Długim” i „Blondynem” do Bagdadu. Trochę to trwało, ale dograliśmy nasze urlopy tak, że do kraju lecimy razem. Andrzej wybrał inny termin. Tę noc spędzamy w czymś, co trudno nazwać nawet hotelikiem. Jakaś prywatna inicjatywa, na którą chłopcy dostali namiar. Kasa nie za wysoka, to i czego oczekiwać. Dom „kwadraciak” z widokiem na sąsiada hodującego kurczaki na drugim piętrze. Podziwiam ich akrobatyczne umiejętności. Niektóre siedzą na trzepakach dywanów o centymetry od krawędzi domu - dla nich to przepaść, ale czy ja wiem? Może taki kurczak zdmuchnięty z dachu by pofrunął? Nasz kierowca zabiera nas na wycieczkę po mieście. Przechadzamy się Karrada Road. Jest tu wiele pracowni malarskich. Zamawiam obrazy moich „Uszastych”. Zostawiam zdjęcia, będą do odebrania następnym razem - zadatek, nic bardziej mylnego, nie jest potrzebny. Decyduję się na „słoneczniki Vincenta van Gogha”. Wracamy. Opici herbatą potrzebujemy czegoś solidniejszego do zjedzenia. Po drodze kupujemy kurczaki z różną, nie jest źle. Rano coaster zabiera nas do Habbanii. Ukraińska załoga jest ta sama. Tym razem dziękujemy za kanapeczki i napitki - już wiedzą, że „starzy” lecą i numer nie przejdzie.

Na Cyprze w tranzycie za obmacywanie mnie wziął się mały uprzejmy stary cap, popisujący się zapewne przed młodszymi kolegami. Na jego mundurze widniały rzędy baretek. Wykrzykiwał coś przy tym i gestykulował mi przed twarzą. Gdy poczułem na policzku kroplę śliny, odepchnąłem go i gość poleciał do tyłu. Podnosząc tyłek, pokazał mi na krzesło obok. Wszyscy przeszli odprawę, a ja zostałem. Rzuciłem się do telefonu na ścianie i - wachlując się dyplomatycznym paszportem - zadzwoniłem do informacji prosząc o numer do polskiej ambasady. Młoda kadra, chyba celników przysłuchiwała się. Po wykręceniu numeru ambasady przeszedłem na polski. Tłumacząc pomagałem sobie wskazując na przyglądającą mi się młodzież. Za chwilę byłem wolny. Tego nadgorliwca już nigdy nie widziałem.

W Larnace spędziliśmy trzy dni. Bilety przez Pragę w tym terminie były o jedną trzecią tańsze niż gdybyśmy lecieli dzisiaj - warto poczekać. Hotel „miodzio”. Z jego basenu nie korzystamy, wybieramy morze. Wędrujemy, spacerujemy, zwiedzamy, jeździmy do Limasol. Pora roku jak dla nas - turystów brak. Nasza kąpiel wzbudza zainteresowanie, ktoś nam robi zdjęcie - temperatura wody jak w Bałtyku, a słońca w bród. „Długi” zauważa pozłacane łańcuchy na wagę chyba. Wybieramy interesujące nas wzory i dostajemy certyfikaty z dożywotnią gwarancją. Miałem ten szajs parę razy na sobie. Powiedzenie, że nie wszystko złoto, co się świeci, miało tu uzasadnienie. To gównno brudziło szyję do tego stopnia, że nie można było jej domyć. W Pradze pięć godzin czekania na lot do Warszawy. Mamy autobus z lotniska na Stare Miasto. Korzystamy z okazji i w pośpiechu zwiedzamy. Refleksja przychodzi sama. Są narody, które walczą, potem z mozołem odbudowują i nic z tego nie mają. Są też takie, które się poddają i potem robią kasę z turystyki. Może trochę uprościłem, Starej Pragi ze Starym Miastem nawet nie można porównać, to straszne. Warszawo, jakże cię lubię! Już na

studiach, gdy ekspres Odra hamował na Wschodnim, ja spacerkiem szedłem na Dworzec Gdański - odpoczywałem. Raz nawet nie zdążyłem na ostatni pociąg i do Legionowa dotarłem pieszo.

Co można zrobić w domu, gdy jest się przelotem? Przed wyjazdem rozpocząłem budowę domu na działce. Niedokończony stan surowy wzięła na siebie Hania, moja siostra. Zośka nie chciała nawet o tym słyszeć. Po latach nie dziwię jej się, ale było mi przykro. Fakt, zdobyła się na wysiłek i kupiła srebrne świerki. Chciała kupić kilkadziesiąt, ale okazyjnie wciśnięto jej sto. Gdy były małe, cieszyłem się jak dziecko. Później stanowiły pokusę dla złodziei, zapewne niekatolików. Swoją drogą to zastanawiające, że ten jeden czy dwa procent naszego społeczeństwa uwziął się na mnie i ciągle mnie okradał i wycinał świerki... moje świerki.

Dwa tygodnie minęły, nie wiadomo kiedy - byłem ciekawostką przyrodniczą i ta rola mi odpowiadała.

W Pradze osiem godzin czekania na samolot spędziliśmy, gdzie? - oczywiście, na Starym Mieście. Do dzisiaj wspominam piękny skórzany kapelusz w stylu country. Czy zdarza się Tobie, że widząc jakąś rzecz, czujesz, że chcesz ją mieć? - tu i teraz? - mnie często. Do kapelusza przymierzałem się kilka razy, ale trzeźwo kalkulując wybrałem opcję zakupu „w drodze do Polski”. Podczas następnego urlopu już go nie było. W Larnace witaliśmy się z Ukraińcami, jak ze starymi znajomymi. Przez Canal Hotel tylko przemknęliśmy. Dohuk wysiadł wcześniej i ani się obejrzałem, jak w Erbilu siedzieliśmy przy kolacji w komplecie. Polskie wiktuały kusily, a chleb smakował chłopakom jakby był prosto z piekarni. Następnego dnia po patrolu spałem do rana jak zabity. Zazdrościłem Andrzejowi, że urlop ma przed sobą. Samo życie.

## Dzień po dniu... ciąg dalszy

Na targ jeździliśmy przynajmniej dwa razy w tygodniu. Kupowaliśmy świeże mięso, warzywa i owoce. Pozostałe żarciowe zakupy robiliśmy w sklepikach obok nas. Gotowanie było moją domeną, chociaż Andrzej wcale nie był gorszy. Sklepy rzeźników były na jednej ulicy i wpadaliśmy tu już z warzywami, żeby z tym mięsem *szybciej do gara*. Póltusze krówek były sprawiane najczęściej na naszych oczach i zawsze odnosiłem wrażenie, że zwierzęta były... jakieś takie małe. Nawet na patrolach, patrząc przez szyby samochodu zwróciłem uwagę, że pasące się krowy wyglądały, jak jakieś większe wychudzone bernardyny. Zgodnie z radami Jerzego - żadnych tatarów, krwistych kotletów itp. - *gotować, gotować, długo gotować, żeby wykończyć brucelozę*. Z tego też powodu popularną, żeby nie powiedzieć stałą potrawą, był gulasz z dużą ilością warzyw oraz kurczak we wszystkich możliwych postaciach. Wszystko to z ziemniakami posypanymi dostatnio kminkiem - *bo wiecie, te wiatry* - rada naszych południowych sąsiadów spodobała nam się, zawsze to też inny smak. Parę razy Filipińczycy pokazali mi, jak z kury zedrzeć skórę z piórami, *bo wiesz Marek, skóry się nie je*. Trzeba do tego dwóch osób, jednej do trzymania głowy, a drugiej do ściągania skóry, zaczynając od nacięć na szyi. Po Kurdystanie już nigdy tego nie robiłem, chociaż z Fidżyjczykami piekłem kurczaki w glinie. Także za radą mojego słowackiego kolegi, przygotowując placki ziemniaczane zamiast trzeć je na jednorodną

masę, tarłem na wiórki. W smaku były takie same, a szybciej się tarło i nie trzeba było tak uważać na palce. Śniadanie często jedliśmy na stacji. Do wyboru była jajecznica i naleśniki z dżemem. Kuchnia znajdowała się na parterze obok pokoju z kolekcją resztek urządzeń zapalających, znajdujących w miejscach zniszczonych ciężarówek. Kucharzem był sprzątac. To znaczy rano kucharzył tym, co zamówili śniadanie dzień wcześniej, mając z tego jakieś drobne pieniądze, a później sprzątał w ramach podpisanego kontraktu. Lubiłem obserwować, jak rozkładał się z półproduktami pociętymi w domu (pewnie przez żonę) równiutko w kostkę. Na gorącym oleju przysmażał paprykę i cebulę, wbijał jajka, dodawał pomidory i fetę.

Podróbki smaku tej jajecznicy nie udało mi się uzyskać w Polsce pomimo wielu prób. Prawda jest też taka, że jajecznica według irackiego przepisu nie odpowiadała moim „Uszastym”. Jak któreś decydowało się w końcu na „z papryką”, to inne: „*ale dla mnie bez sera*”. Kończyło się jak łatwo przewidzieć powrotem do jedynie słusznej, naszej, tradycyjnej wersji. Do stacyjnego ceremoniału śniadaniowego należało picie herbaty i kawy, co było celebrowane przez „personel” niewyjeżdżający na patrol, a nieodłączny papieros stanowił dopełnienie całości.

Mieliśmy w domu termę, która sprawdzała się doskonale, gdy był prąd, no i oczywiście dostatek wody. Jeśli nie, pozostawała nie za duża miska, w której generalnie się stało. Miało to wiele zalet. Najważniejszą było to, że nie stało się na zimnym betonie i chociaż przez chwilę było ciepło w stopy. W chłodne dni do ogrzewania służyły piecyki naftowe obsługiwane przez housekeepera. Oprócz ciepła wydzielały one charakterystyczny zapach, do którego trzeba było się przyzwyczaić. Śmiem przypuszczać, że byłoby tu fajnie wszelakiej maści wączaczom klejów, lakierów i innych paskudztw.

## Jasna cholera

Wiadomość o wybuchu w Sulejmanii epidemii cholery zmroziła wszystkich. Nasze zaniepokojenie nie było spowodowane wystąpieniem tej gangreny, ale raczej świadomością nieuchronności zdarzeń, w których braliśmy, bierzemy i może będziemy brali udział. Cóż jeszcze może nas tu spotkać? Jedną z pierwszych decyzji dowództwa był zakaz podróżowania do tego sektora, a biedacy z Sulejmanii - tak nam się wydawało - mieli zakaz podróżowania do nas. Jerzy miał mnóstwo pracy. Jako lekarz chorób tropikalnych uczestniczył w spotkaniach i naradach szefów wszystkich organizacji działających tu, jak również wydawał zalecenia medyczne mające uchronić nas przed tą zarazą. Jednym z nich było codzienne wypicie dwóch butelek piwa. Ucieszyło to naszych kolegów wierzących w Allacha, a my niejako przy okazji dowiedzieliśmy się, że jak doktor zaleca, to oni i owszem - mogą. Mycie owoców, woda ze sprawdzonych źródeł, to wszystko już znaliśmy. Wprawdzie choroba nie dotknęła jeszcze naszego kontyngentu, ale z każdym dniem liczba chorych w Sulejmanii wzrastała. Propozycja Jurka, żeby miasto otoczyć kordonem sanitarnym, nie została zaakceptowana. Chorych umieszczano w miasteczku namiotowym. Przez parę tygodni „cholerne” informacje otrzymywaliśmy codziennie i zaczęły nam one powszednieć. W klubie przybyło piwoszy

przychodzących tu jak do apteki, ale poza tym sytuacja już nas nie niepokoiła. Wiedzieliśmy o kilkudziesięciu przypadkach, w tym chyba dwóch śmiertelnych, ale ostatnie wieści były krzepiące. Nie zdziwiłem się więc widząc u nas patrol z Sulejmanii. Gdy miałem pojechać do nich „z kwitami”, przyjąłem zadanie z ciekawością. Pod miastem zobaczyłem miejsce kwarantanny - kilkanaście namiotów. Nie widziałem, żeby teren był szczególnie izolowany. Po powrocie zastałem zafrasowanego Jerzego. *Wg WHO Sulejmanija jest miejscem endemicznym i cholera występuje tam prawie co roku. Miejscowi traktują tę chorobę tak, jak każdą inną. Tylko nam tego nie powiedziano. Jurek kontynuował - 2, góra 3 przypadki śmiertelne w 100-tysięcznym mieście, to nic nie znaczy. Grypa zbiera większe żniwo, a ja proponowałem kordon sanitarny.* Rozumiałem mojego kolegę. W Europie jak słyszymy o cholercie, przypominają nam się wszystkie nieszczęścia, jakie tu spowodowała. Jerzy - wrocławianin - na pewno miał w pamięci powojenną epidemię czarnej ospy w tym mieście - kordony sanitarne, całkowitą izolację miasta i żniwo kilkudziesięciu ofiar, jakie zebrała. Zapewne na studiach przypadek Wrocławia był omawiany na dziesiątki sposobów. No cóż, mój kolego, jak już operować, to po całości, nie ma się co rozdrabniać.

## Przyjazd dziewczyn

O tym, że przyjeżdża nowy personel medyczny, dowiedziałem się od Jurka miesiąc wcześniej. Miała to być planowa rotacja za Wiesię, której nie wyrażono kolejnej zgody na przedłużenie pobytu. Wracając z urlopu w kraju, podczas odprawy paszportowej w Larnace, skojarzyłem ten fakt z nadwiślańskim akcentem angielskiego, jakim posługiwały się dwie dziewczyny oraz informacją udzieloną urzędnikowi, że są w tranzycie do Bagdadu. Podszedłem oferując pomoc. Tak poznałem Beatę i Elę. Tylko trochę porozmawialiśmy. UN-owski AN 24, którym za chwilę podróżowaliśmy, z racji hałasu nie nadawał się do konwersacji. Także coaster z Habbanii okazał się być bez klimatyzacji, więc to my kleiliśmy się, nie rozmowa. Rozstaliśmy się przed hotelem Palestyna. Dziewczyny miały pozostać parę dni w Bagdadzie, ja prawie natychmiast miałem podwózkę do sektora, więc po paru godzinach zdałem relację Jurkowi. Uśmiechnął się z zadowoleniem słysząc, że są młode, po studiach i najważniejsze, że swobodnie porozumiewają się angielskim. Przyjechały po tygodniu. Żeby przywitanie wyglądało jak należy, w dwa samochody wyjechaliśmy do Mosulu w ramach eskorty. Wieczorem przy kolacji, którą przygotowali Jurek z Romkiem snuliśmy plany na przyszłość. Już wiedzieliśmy, że Ela dostała przydział do Sulejmanii. Jerzy, znawca miejscowej kuchni i specjałów wszelakich, przygotował niespodziankę. Był to miejscowy przysmak, czyli rosół wróblowy. Chociaż byliśmy z Andrzejem uprzedzeni, z zaciekawieniem obserwowałem towarzystwo. Mój współmieszkaniec, widząc na talerzu malutki kadłubek zrobił tak nieszczęśliwą minę, że przeszła mi ochota na eksperymenty kulinarne, a dziewczyny? Patrzyłem, jak Beata trzyma za nóżki już drugiego fruującego, a Ela - chociaż jej wyraźnie mięsko „nie szło” - skupiła się podobnie jak ja na smacznym rosolu z kluseczkami. Nadszedł w końcu moment, kiedy wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, dając Jerzemu sposobność do objaśnienia, że

wróbelki są sprzedawane po 12 sztuk i że jedliśmy stwory latające na polach, nie miejskie. Kawa z kardamonem była wspaniała, a ciasteczka tak słodkie, że „uszy darło”. Azad, kucharz i housekeeper w jednej osobie, zebrał zasłużone oklaski. Był dorabiającym nauczycielem. Pichcił z przygotowanych przez żonę półproduktów, które przynosił z domu. Bardzo się lubiliśmy.

Na drugi dzień po Elę przyjechała „Sulejmanija”, a my rozpoczęliśmy poszukiwania domu dla Beaty - bezowocne, jak się wkrótce okazało. W rezultacie zamieszkała w moim i Andrzeja za zgodą właściciela, który swoją akceptację wyraził podnosząc nam opłatę za wynajem. Beata szybko zdobyła sympatię nas wszystkich. Energiczna „dziewczyna z jajem”, stanowiła przeciwieństwo swojej poprzedniczki. Wkrótce dało się zauważyć wśród Czechów i Słowaków pierwsze objawy zauroczenia piękną Polką. Tak się jakoś dziwnie składało, że gdzie by nie przysiadła lub się zatrzymała, otaczał ją wianuszek chętnych do pogawędki. Nie było to czymś nadzwyczajnym - była przecież jedyną kobietą na trzydziestu chłopów pełniących tu służbę. Zauważyliśmy z Andrzejem, że to podobno „do nas” przychodzili w odwiedziny koledzy, którzy do tej pory jakoś nie przejawiali inicjatywy w tym względzie. Gdy wydawało nam się, że sytuacja staje się uciążliwa, wszystko wróciło do normy. Jak później spuentowała to Beata - *koleżeństwo koleżeństwem, ale porządek być musi* i wzięła chłopców na dystans. Od tej pory to my we trójkę chodziliśmy w odwiedziny, na przyjęcia, przyjętka i do klubu. Jeździliśmy na party organizowane przez Dohuk i Sulejmaniję, a oni przyjeżdżali do nas. Mówi się, że kobiety łagodzą obyczaje. Nie całkiem się z tym zgadzam, ale coś w tym musi być, skoro w klubie oprócz grania w bilard można było potać się.

## Sauna

Lekarze od tygodnia organizowali wyjście do sauny, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. Właśnie miałem „posiedzenie egzekutywy” i w stanie błogiego spełnienia patrzyłem na plastikowe wiaderko, gdy Andrzej zaczął mnie wołać. Już myślałem, że coś się stało, ale nie, *sauna, sauna* - darł się wniebogłosy - chłopaki czekają. Faktycznie, samochód stał przed bramą, a w ogródku kręcił się Romek. Coś tam zacząłem marudzić, że nie jesteśmy przygotowani, ale ten, pokazując wzrokiem na siatki z piwem, poinformował *mamy wszystko, co trzeba*. W drodze okazało się, że nie mogli dogadać się z „saunowym”. W dogodnych dla nas terminach były dni babskie i odwrotnie. Zaraz, zaraz, skąd my to znamy...? Budyneczek z zewnątrz okazał się całkiem do rzeczy. W środku była sauna parowa i sucha oraz wykuty w skale basen z wodą wątpliwej czystości. Po pierwszej, „suchej” sesji Jerzy zakomenderował - *Marek do wody!* - Do jakiej wody? Ociągałem się z wyraźną niechęcią, *a jak mi serducho wysiądzie?* - broniłem się. Takiej eksplozji śmiechu nie słyszałem od lat. Chłopcy prawie tarzali się na skalistej podłodze. *A w której saunie w Polsce będziesz miał taką opiekę medyczną? Wskakuj*. Woda była przepysznie lodowata, rozgrzane ciało jakoś się nie zbuntowało, chłodne piwo jak eliksir... no mówię wam, miodzio, kuźwa, miodzio. Gdzieś tak po godzinie gdy wsiadaliśmy do rozgrzanego upałem samochodu, już marzyłem o powtórce z rozrywki. Już nigdy tu nie wróciliśmy.

# Sulejmanija

Jadąc tam nie korzystaliśmy z możliwości wygodniejszej jazdy przez Kirkuk, gdyż trzeba by wjechać na saddamowskie terytoria. Kierowaliśmy się na Koi Senjak, za którym czekała wspaniała wspinaczka ostrym zygzakiem na szczyt, po pokonaniu którego zwykło się mówić, że Sulejmanija jest na wyciągnięcie ręki. Na szczyt próbowały się też wdrapać przeładowane ciężarówki. Pracujące w upale na najwyższych obrotach silniki i chmury spalin towarzyszyły ich ciężkiej pracy. Widok zepsutego pojazdu nie był rzadkością. Wtedy dopiero zaczynała się jazda. Jadący pod górę musieli kombinować, żeby bez zatrzymania się ominąć zawałidrogę. Nie zawsze się to udawało, gdyż ruch z góry w dół też był znaczny. Po latach, pisząc te słowa, jestem ciągle pod wrażeniem umiejętności kierowców i ich odwagi. Tak, trzeba było być odważnym i bardzo zdeterminowanym, żeby jeździć tą drogą - ale z innej nie mogli korzystać, był tam Saddam. Na szczycie zwykle zatrzymywałem pojazd, żeby napić się herbaty, czasem zjeść małego szaszłyka i popatrzeć z góry na wspaniały widok, który wynagradzał trudy podjazdu. Szaszłykarnia, to wielkie słowo, a raczej hołd dla chłopca, który obsługiwał małego blaszanego grilla. Nie wiem dlaczego, ale jakoś zawsze wolałem jego biznes niż większy wyglądający profesjonalnie interes z daszkiem i miejscami do siedzenia.

Dzisiaj jechaliśmy z Romkiem. Miał do pogadania z Elą o złożeniu zamówienia na leki. Medycy musieli to robić z dużym wyprzedzeniem. Na podstawie kwitu Jurka, ktoś tam na zewnątrz robił przetarg i po paru miesiącach towar spływał do Kurdystanu. Było więc ważne, żeby wszystko dokładnie przemyśleć. Dojeżdżając do miasta, widziałem smutne wraki czołgów. Robiły przygnębiające wrażenie. Myślałem o ich załogach i o tym, że nawet nie wiem, do której ze stron należały - lufy były skierowane na miasto. HQ sektora mieściła się w ładnym, położonym na pagórku i otoczonym zielenią budynku. Sprawy służbowe załatwiliśmy szybko, gdyż Ela przygotowała wszystkie możliwe wykazy. Zaprosiła nas do domu - była pora lunchu. Wychodząc, popatrzyłem na wrak śmigłowca leżący obok. Parę tygodni wcześniej pilot uciekł z Iranu i lądując zahaczył ogonem o słup wysokiego napięcia. W ucieczce podobno brało udział kilka śmigłowców. Przed granicą piloci usłyszeli - *wasze rodziny już mamy* i zawrócili - biedacy.

Ela wynajmowała część dużego domu. Patrząc na duże połacie szkła - osadzone w stalowych ramach - od razu pomyślałem o zimie i ogrzewaniu. Jak to ogrzać piecykami naftowymi? Była szczupłą, drobną blondynką. Patrzyłem, jak się krząta w kuchni, wesoło tłumacząc nam, co robi. Gdybym nie wiedział, że jest wegetarianką, nie szybko zorientowałbym się, że to co za chwilę jadłem, nie ma nic wspólnego z mięsem. Do tego sałatka z warzyw. Coś z niczego w 15 minut, a smaczne... Przy kawie trochę się skarżyła na samotność po pracy. *Fakt, zapraszają mnie na party, jakieś spotkania, ale i tak trzeba wrócić do pustego domu.* Żegnając się, obiecaliśmy zorganizować imprezę w klubie i zaprosić wszystkie stacje - będziecie miały okazję sobie zrobić babski wieczór. Wyraźnie się ucieszyła. Wracając, w Dukan skręciliśmy nad sztuczny zalew o tej samej nazwie. Wybraliśmy - jak nam się wydawało ustronne miejsce i chociaż nie byłem przygotowany na kąpiel... co tam, raz kozie śmierć.

Woda była przeraźliwie zimna. Nie zdążyliśmy wyjść, gdy pojawił się sprzedawca ryb, oferując swój towar. Okazało się, że ryby w Erbilu pochodzą z tego zbiornika. Szkoda, że nie miał do nich lodu, musieliśmy podziękować. Jadąc zajadaliśmy suszone daktyle od Eli. Skutek był taki, że nie mogłem się doczekać herbatki u chłopca na szczycie, pod który pieliśmy się za kopczą ciężarówką bez możliwości wyprzedzenia. Chłopak się tylko uśmiechnął, gdy pijąc pierwszą szklaneczkę „z pianką”, zamówiłem dla nas dwie następne. Erbil witał nas zachodzącym słońcem.

## Spotkanie

Zgodnie z obietnicą daną Eli, słysząc „Długiego” „na radiu”, ot tak, na spontanie, zaprosiłem Dohuk do nas na sobotę. Jurek przyklasnął pomysłowi i po swojej linii zarządził „stawienie się komponentu medycznego”. Zanosilo się, że pierwszy raz polski kontyngent spotka się razem. Był poniedziałek, tak więc nie powinno być problemu z ewentualną zamianą służb. Wieść, że Polacy coś organizują, rozeszła się błyskawicznie. Dla dobra sprawy o spotkaniu uprzedziłem „władze” klubu. W sobotę, późnym popołudniem byliśmy już w komplecie, ale jeszcze podzieleni na dwie grupy. Gdy nadciągnęli medycy, radości było co niemiara. Siedzieliśmy u nas w kuchni, sącząc burbona, podczas gdy dziewczyny poszły robić się na bóstwa. Gdy wróciły, nie tylko mnie przytknęło. No cóż, te mundury na pewno im uroku nie dodawały - bez nich widzieliśmy je po raz pierwszy. Ela wyglądała delikatnie dziewczęco, a Beata ze swoimi nogami po same niebo zachwycała figurą. Lekki makijaż, jaki panie sobie zafundowały, to była kropka nad i. Gdy Andrzej coś tam bąknął, że nie będziemy się z innymi dzielić i zostajemy z dziewczynami w domu - były zachwycone. Do klubu mieliśmy nie więcej niż 100 metrów i gdy się tam w końcu pojawiliśmy, było to prawdziwe wejście smoka. Tylu ludzi w życiu tu nie widziałem, było gęsto. Nasi koledzy zezowali tylko na dziewczyny, nasze dziewczyny i to było miłe - Wiesia i Cza - Cza nie pojawiły się.

Romek był świetnym bilardzistą. Z przyjemnością przyglądałem się, jak roztrzaskuje innych, przyjmując przy tym nieprawdopodobne figury. Nie byłem dla niego poważnym partnerem, ale był wyrozumiały. W sali bilardowej było gęsto od dymu papierosowego przemieszanego z zapachem whisky. Nie wiem, kiedy zorientowałem się, że rozluźniło się i mamy przy stole większe pole manewru. Dostrzegłem chłopaków tłoczących się w drzwiach do innej sali. Ciekawość sprawiła, że odłożyłem na chwilę kij i - przeciskając głowę między nimi - zobaczyłem tańczącą Beatę. Jej solówka była niesamowita. Nie trwało długo, gdy zauważyła kilkanaście „włampiających się” w nią głów. Musieliśmy wyglądać dziwnie. Natychmiast przerwała, zrobiła raka i odplynęła pod ścianę. Na sali słychać było jęk zawodu. O 20.00 „radio” zaczęło nas wywoływać. Trwało to bardzo długo. Oprócz naszej stacji zgłaszali się goście z Dohuku i Sulejmanii. Po „radio check” wszyscy ruszyli do tańca. Po raz pierwszy poczułem się na luzie, było przyjemnie. W wolnej chwili złożyłem u Stefana zamówienie na skorpiona. Był młodym Duńczykiem, fascynatem węży, żmij i skorpionów. Preparował je i zalewał formaliną.

Nie dokończyliśmy rozmowy, gdy zostałem wywołany do bramy. Asti krzyczał, że pożar, że nasz dom się pali. Biegliśmy, dziewczyny chyba jakoś szybciej. Z daleka nie widać było ognia, ale pod domem wyraźnie czuć było dym. Właściciele domu płci męskiej głośno lamentowali. Nie jest źle, pomyślałem, to samo głośno wypowiedział Andrzej. W pokoju Beaty, na środku stał drewniany stół, a w nim dziura o kształcie żelazka, które leżało na wypalonym dywaniku. No cóż, nie jest łatwo piękną być i nie tanio, jak się wkrótce okazało. Nasza oczywista deklaracja pokrycia wszelkich wydatków była wstępem do negocjacji w dniu jutrzejszym. Powróciliśmy do klubu, ale to już nie był ten klimat. O północy byliśmy w domu. Atmosfera się rozluźniła, bo tak naprawdę to nic się nie stało. Dohuk podkpiwał sobie z Beaty, a ta nie była dłużna. Do rana mieliśmy niezły ubaw, śpiąc w siódmkę na trzech łózkach. Po śniadaniu, gdy goście rozjechali się w swoje kierunki, rozpoczęliśmy rozmowy zmierzające do wyrównania gospodarzowi strat. Wymiękliśmy, gdy okazało się, że pokój musi być odmalowany, że farba do tego to nie ta z Erbilu, *musi być z Iranu, bo jest najlepsza*. Koniec końców Beata stała się lżejsza o kilkaset dolców, a ja nie pamiętam, żeby pokój przy nas pomalowano, ale może się myłę. Oczywiście stolik zakupiono nowy i dywanik, i żelazko także.

## Mosul

Na jednej z porannych odpraw Lars niespodziewanie awansował mnie i Andrzeja na dowódców zespołów. Jakby na to nie patrzeć, była to nobilitacja i nowe obowiązki. Wystąpiliśmy przed szyk i dostaliśmy naramienniki z jednym paskiem. Chłopaki klaskali i buczeli z aprobatą. Było mi po prostu miło. Wieczorem w klubie dzwon nie był tylko rekwizytem - wszyscy byli zadowoleni. Zaczęły się nowe obowiązki. Już nie „woziliśmy się”, ale planowaliśmy zadania, składaliśmy meldunki radiowe i pisaliśmy raporty. Skład patroli był ustalany z jednodniowym wyprzedzeniem ze względu na urlopy. Dni mijały szybko i często ze zmęczenia nie zawsze chciało mi się wyjść z domu. Gdy więc Lars zapytał, czy bym nie pojechał z nim i kilkoma oficerami na towarzyskie spotkanie z iracką bezpieką, chętnie na to przystałem. Chodziło o kontakt z ludźmi mającymi wpływ na przepuszczanie konwojów z Kurdystanu do Iraku. Utrzymanie dobrych relacji leżało w naszym interesie. Spotkanie odbyło się w restauracji położonej nad Tygrysem, specjalizującej się w rybnych potrawach. Po krótkim przywitaniu z trzema panami wspólnie uzgodniliśmy zamówienie. Miała to być ryba z grilla. Decyzja o wyborze potrawy nie była specjalnie wyszukana zważywszy na miejsce, w którym się znajdowaliśmy, ale sposób realizacji... Podeszliśmy do okrągłego basenu (dopiero teraz zwróciłem na niego uwagę), w którym pływały ryby. To nie były ryby, rybki czy coś podobnego znanego mi z Polski. To były pływające U-Booty. Irakijczycy wskazywali chyba właścicielowi restauracji pojedyncze sztuki, ten wydawał polecenie i za chwilę wyłowioną rybę prezentowano nam, trzymając ją w rękach. Po obejrzeniu wracała do wody. Trwało chyba z dziesięć minut, zanim wybitni znawcy tematu dokonali wyboru dwóch interesujących ich sztuk. Wzbudziło to mój szacunek dla ich profesjonalizmu, o czym nie omieszkalem powiedzieć. Słyszając moje kadzenie, nie można było nie zauważyć, że panowie byli w siódmym niebie. Tak na oko mieliśmy z 10 kilogramów mięsiwa. Zapowiadała się niezła ucztą. Ryby

znalazły się wkrótce na olbrzymim grillu, natomiast my przenieśliśmy się na znajdujący się na palach zadaszony trzcina pomost. Chłód od wody i wiaterek czyniły to miejsce nad wyraz komfortowym. Mniej więcej po pół godzinie, które Lars wykorzystał na rozmowę o naszych problemach związanych z tłokiem na granicy i sugestiach dotyczących sposobu ich rozwiązania, wniesiono cztery olbrzymie metalowe tace z parującym przysmakiem. Jak się wkrótce okazało, warto było czekać. Podano pokrojone pomidory, cebulę i oczywiście *pitę*. W ruch poszły dłonie. Porcje ryby zawijane w porcyjki chleba szybko znikwały w naszych żołądkach. Po zaspokojeniu pierwszego głodu można się było rozkoszować walorami smakowymi specjału i oczywiście gorącej herbaty. Nie wiem, jaką rybę podano, ale jej smak mam zawsze na podniebieniu, gdy zamawiam nad polskim morzem rybę „prosto z kutra”, mając neodparte wrażenie, że jem mrożonkę. Aby nie popijać tylko wodą, opróżniona została przywieziona przez nas butelczyna - tego dnia robiłem niestety za kierowcę. Później konwersacja dotyczyła już tylko bezpiecznych tematów. Przewodnim były kulinaria. Rozstając się, uzyskaliśmy obietnicę wszechstronnej pomocy - i o to chodziło.

## Powrót z urlopu

Co robić, gdy ma się w Pradze osiem godzin czekania na lot do Larnaki? Odpowiedź jest prosta Stare Miasto. Gościa od kapeluszy nie ma, może to i dobrze, oszczędzę sobie przemyśleń - kupić czy nie kupić. Jest luty, zimno jak diabli. Sytuację ratują, tak mi się na początku wydawało, budki z grzonym winem. Po pierwszej dostatniej szklaneczce zimno wstępnie mi odpuściło. Zapuściłem się więc w uliczki z kramami takimi dla turystów. Można je znaleźć na całym świecie, różnica jest w zasadzie jedna. Tutaj malowidła, malunki, rysunki i szkice przedstawiają Starą Pragę, a nie np. fontannę di Trevi. Chcesz swój portret, proszę bardzo. Tutaj, w Rzymie czy w Warszawie portreciści są stałym elementem pejzażu miasta. Szukałem piwiarni, no bo być w Czechach i nie spróbować piwa? Odnalazłem lokal, który - jak mi się wydawało - powinien spełnić moje oczekiwania - nie „pod turystów” a taki, gdzie miejscowi lubią wpaść na browarka. Robił wrażenie „przechodzonego” co nieco. Pan za szynkwasem swoją aparycją, a szczególnie brzuchem piwnym, był żywą reklamą tego miejsca. Przecierając blat ścierką, wysłuchał mojego zamówienia i uwagi: czy to piwo jest aby dobrej jakości? Napełnił kufel złocistym napojem, postawił nie za blisko mnie, wyjął z szuflady chyba monetę? i delikatnie położył na pianie. Może być? Przytaknąłem zaskoczony. Sięgałem po kufel, gdy go chwycił i wylał zawartość do zlewu. Napełnił kolejny i dopiero ten mi podał. Byłem gotowy zamówić jeszcze jeden, żeby wykazać się znawstwem tematu i w najprostszy sposób wyrazić swoje zadowolenie, ale nie chciałem zamienić zwiedzania w spacer „śladami toalet”. Wychodząc uścisnąłem barmanowi dłoń. Po mniej więcej trzech godzinach zauważyłem, że kręcę się tymi samymi uliczkami, a kolejne rundy różnią się tym, że gdzie indziej kupowałem grzańca. Gdy kolejny raz zaliczyłem lilipecię uliczkę i most Karola, uznałem, że pora wracać. Na lotnisko dotarłem dobrze mi znaną linią autobusową.

W samolocie moimi sąsiadami była starsza grecka para. On, mały, żwawy człowieczek, ona nie odzywała się wcale. Ubrana na czarno wyglądała, jakby zesza z planu „Greka Zorby”. Przypadliśmy sobie do gustu, gdy obaj jak na komendę rzuciliśmy fuckami, słyszą głos z głośników wypraszający nas

z samolotu z powodu nic nieznaczącej usterki technicznej. Po pół godzinie gdy siedzieliśmy ponownie na swoich miejscach, Grek zerknął na mnie porozumiewawczo dotykając ucha, też usłyszałem... silniki ucichły. Głos z głośników ponownie zapraszał do wyjścia. Mieliśmy już dwie godziny spóźnienia. Moje obawy związane z wylotem nasiliły się, jak usłyszałem, że do samolotu będziemy wchodzić inną bramką. Z tego powodu będziemy poddani ponownej kontroli. Stałem „nasty” w kolejce, szukając w kieszeni gumy do żucia. Moje palce już dłuższą chwilę bawiły się czymś, co - gdyby było prawdziwe - powinno postawić moje włosy dęba. Ostrożnie otworzyłem dłoń - mieniący się nabój był jak najbardziej prawdziwy. Tyle granic, tyle kontroli, a ja sobie wożę w szwie kieszeni przedmiot pożądania każdego służbisty. Podobno przed śmiercią stają w oczach obrazy z przeszłości. W myślach widziałem całą tę procedurę, te kwity... No i zatrzymanie do wyjaśnienia. Smarknąłem w chusteczkę i kontrabanda wylądowała w koszu. Moje ucho nie wyłowiło metalicznego stuknięcia - udało się.

Siedziałem obok Greka. Atmosfera była napięta. Cichnące silniki tym razem poprzedziła informacja - spóźniony pasażer. Gdy poszliśmy w górę, mój sąsiad wywołał stewardesę i poprosił o przekazanie kapitanowi, że oczekuje wyjaśnień. Za chwilę otrzymaliśmy krótki komunikat. Tym razem ja wywołałem stewardesę. Oczekiwałem od kapitana przepraszającej kolejki - nie była zaskoczona. Grek przyglądał się z niedowierzaniem. Pan kapitan, dziękując wszystkim pasażerom za wyrozumiałość, zakończył: *stawia kapitan*. Mój towarzysz był wniebowzięty. Po dwóch drineczkach wydawało mi się, że najwyższa pora na odpoczynek, ale nie, uśmiechnięty Grek coś tam zagadał do żony i ta spod fotela wyjęła butlę charakterystycznie oplecioną wikliną. Pokazał mi, jak się to przechyla. Pociągnęliśmy. Nieopatrznie życzyłem nam: *tyle startów, ile lądowań*, mówiłem też coś o kole zapasowym na wypadek, wiadomo, złapania gumy. Rozbawiony gościu tłumaczył wszystko żonie i ta dołączyła do dyskusji.

W tak zwanym międzyczasie obserwowaliśmy głowę pasażera siedzącego przede mną. Niewątpliwie zafundował sobie przeszczep włosów. Widok był mało zachęcający. Od czoła do tyłu biegły rzadkie rowki, w których również z rzadka „na rzodkiewkę” posadzono liche kępki włosów. Grek wymownie postukał palcem w czoło, pokazując na modnisia. Jak można się tak zeszpecić? Ta operacja na pewno nie należała do udanych, a może się czepiam? Może końcowy efekt miał tu znaczenie drugorzędne? Może to był protoplasta tych obnoszących się z drutami na zębach, plastrami nikotynowymi, przeciwciażowymi itp. Jest gatunek ludzi, dla których „mieć” nic nie znaczy, jeśli nie można tym się pochwalić, a że ja tego nie akceptuję?

Żegnałem się z Grekami jak ze starymi przyjaciółmi. I oni, i ja bawiliśmy się chwilą, jaką dał nam w darze los - łapmy takie szanse garściami.

## **Straszliwa biegunka, czyli krótka opowieść o źródlanej wodzie**

Wiadomość o chorobie „Blondyna”, przejawiającej się ustawiczną sraczką, z którą się borykał, w pierwszej chwili nie zrobiła na mnie wrażenia. Gdy przypadłość w kolejne dni dopadła również

„Długiego” i „Marudę”, sprawa zaczęła wyglądać poważniej. Jurek wiedzę medyczną w tym zakresie czerpał od Zbyszka, który przekazywał mu codziennie raporty medyczne. Wieczorem - rozmawiając z moim zacnym kolegą - usłyszałem, że wybiera się tam służbowo: *po jaką cholere tam jedziesz, chce Ci się, musisz?* Pytając, myślałem, że może chce zadzwonić do kraju. *Muszę, sraczkę ma również Zbyszek.* Szybko zamieniłem się służbą i pojechaliśmy razem. Na widok „Długiego” ostupiałem. Zobaczyłem cię człowieka. Opierał się o ścianę, z widoczną trudnością stojąc na nogach. Pozostali wyglądali podobnie. *Co jest grane, co zżarliście?* - przepytywałem, gdy Jurek prowadził wywiad ze swoim cierpiącym kolegą po fachu. *No nie, nie żarliśmy, ale wypiliśmy.* Okazało się, że pomysłodawcą przywożenia „źródlanej” wody z gór był „Maruda”, który w ramach własnej inicjatywy aprowizacyjnej wyczał również tańsze arbuzy wiele kilometrów od Dohuku. Pierwsza dostawa krystalicznie czystej wody osłabiła czujność moich kolegów, ale już drugiej „nie dopili”. Z relacji „Blondyna” wynikało, że na czterech facetów jeden kibel to mało w sytuacji, gdy trzeba tam siedzieć, a nie bywać. A było to tak. Będąc na patrolu, „Maruda” zapuścił się wysoko w góry w cudowne pustkowiu z malowniczymi widokami. W tej bajkowej scenerii odkrył tryskające ze skały źródło... „mineralną” ponoć przywiózł do domu. Miejsce okazało się jednak znane pasterzom. Załatwiali tam potrzeby fizjologiczne, a tu przecież nie używa się papieru...

Posiedzieliśmy z chłopakami parę godzin, podtrzymując ich na duchu, ale śmiać też mi się chciało. Pamiętaliśmy wszyscy ostrzeżenia Jurka i jego metody na amebę. Zakupione owoce kąpał w roztworze jodyny i później wkładał na co najmniej godzinę do lodówki. Tak przygotowane winogrona wprowadzie ciut „jechały”, ale można było je jeść w miarę bezpiecznie. Cała czwórka przebywała trzy tygodnie na zwolnieniu lekarskim wystawionym też przez chorego, któremu z kolei stosowny dokument wypisał kolega po fachu z Erbilu. Jeszcze dwa razy odwiedziliśmy chorych. Za każdym razem myślałem, że bardziej już nie da się schudnąć - to straszna choroba.

## Branislav

Bronek był naszym oficerem transportowym (MTO). Swoje obowiązki traktował na równi poważnie, co grę na gitarze, ze wskazaniem na to drugie. Z tego powodu był duszą towarzystwa i czołowym zapiewajką na wszelkich imprezach. Chłop z niego był potężny. Gdy szliśmy we trójkę na kolację do „czeskiego” domu, z daleka słychać było jego śpiew. Otworzył nam drzwi i szlacheckim ukłonem zaprosił do środka - widać było, że co nieco już wypił. Nie przywiązywałem więc uwagi do tego, że mijając go zostałem potrącony. Andrzej z Beatą dołączyli do rozbawionego grona dyskutujących o wszystkim i o niczym, natomiast mnie przechwycił Tom, Szwajcar. Był instruktorem strzeleckim w jakiejś organizacji ochroniarskiej. Pojawił się w Erbilu na dwa tygodnie i tak naprawdę nie wiedzieliśmy, co on tu robi. Jak się dowiedział, że też uczę strzelać, od paru dni nie mogłem przejść obok niego spokojnie. Był pasjonatem broni i wystarczyło mu nie przeszkadzać, a sam rozwijał temat. Także dzisiaj zauważył mnie wchodzącego i już - siedząc przy nim - wiedziałem, że wieczór mam z głowy. Gdy opowiadał mi historię saddamowskiego pistoletu Tarik - a tak naprawdę włoskiej Beretty - drugim

uchem słuchałem, jak Otto daje wycisk Bronkowi za uszkodzony samochód. Faktycznie, gdy MTO wracał z Sulejmanii, zjeżdżając w dół zygzakiem przegrzał hamulce i uderzył w kamienną barierę. W raporcie napisał, że zawiodły hamulce - każde zawiodą, gdy je przegrzejesz, tłumaczył Otto - za szybko jechałeś. Broniek, sącząc szklaneczkę, pozwalał sobie nie zgadzać się z nim, przekonując do swojej wersji zdarzenia.

Siedzieliśmy już z godzinę, śpiewając znany już wszystkim refren piosenki, gdy wybrał sobie mnie na cel. Przysiadł się i zaczął mnie zaczepiać. Początkowo jakoś tak pudło gitary nie mogło między nas się zmieścić, później zaczął mnie poszarpywać, wszystko oczywiście w żartach. Widziałem, że wzrokiem szukał wśród zebranych aprobaty dla swoich żartów. Skojarzyłem to z kuksańcem w wejściu. Miałem szczerą ochotę przetrzymać zaczepki, ale w końcu nie wytrzymałem. Wyjęcie pistoletu, przeładowanie i przyłożenie do czoła było chwilą. Broniek pozostał w bezruchu ze skamieniałą w głupawym uśmiechu twarzą. Tylko poruszająca się grdyka sygnalizowała, że prowadzi spowolnioną alkoholem pracę myślową. Rozładowałem i schowałem broń. Nie miałem już ochoty na siedzenie tutaj. Wychodząc zauważyłem podniesiony kciuk Toma i przyglądającego mi się Otto. Wracaliśmy z Andrzejem. Beatę odprowadzili po małej godzinie. Z tego co pamiętam, to nigdy o tym zdarzeniu nie rozmawialiśmy więcej, a Broniek zachowywał się jakby do niczego nie doszło.

Po paru dniach wracając z patrolu, zauważyłem na parkingu grupkę naszych przy dziwnie przekoszonym land - roverze. Jego buda była przechylona pod kątem 45 stopni od wysokości drzwi w jedną stronę. Otto, prowadzący wszelkie dochodzenia, oglądał go dookoła. To był nowy pojazd, mieliśmy go dwa miesiące i stał w rezerwie. Gdy napisałem raport i wracałem do domu, samochód przykryty był już plandeką. Przy Otto stał Broniek z poobijaną twarzą i ręką na temblaku. Okazało się, że zabrał samochód na przejażdżkę, żeby doładować akumulatory. Na pasie startowym lotniska skręcił, a pojazd się przewrócił i dachował. Tak poza tym nic się nie stało. Otto szary z wściekłości wysłuchiwał wyjaśnień. Było tajemnicą poliszynela, że czasem ktoś tam szalał na pasie startowym, kręcąc bączki, ale to były osobowe toyoty, nie wysoki samochód terenowy. Broniek został odsunięty od funkcji MTO.

## Standby

Minęła już godzina, jak opuściliśmy Erbil. Prowadzi Peter, „w drugiej klasie” tłumacz. Już kilka razy rzucił dosadną uwagę na temat jazdy pikapem (chodziło o to, żeby jechać wolniej). Ostatnia była bardzo nieprzyjemna. *Fuck you* - mruknął pod nosem Peter i nie sposób, żeby tam z tyłu nie było tego słychać. Podczas wdrapywania się zygzakiem na Salah usłyszałem, jak Duńczycy przepytывali oficera dyżurnego w Dohuku, sądząc po akcencie Polaka, o swojego kolegę, dowódcę stacji:

- *Hello Delta, is station commander somewhere around ? - over.*
- *Yes - over.*
- *We are approaching your location and I wanna talk to him - over.*
- *Message copied, standby.*
- *Roger, standby.*

Po jakimś czasie nasz patrol minął Shaqlawę. Rozglądaliśmy się za miejscem, gdzie moglibyśmy coś zjeść, gdy usłyszałem ponownie:

- *Delta, this is Delta 3 Bravo message - over.*
- *This is Delta, send your message - over.*
- *Approx half an hour ago I called you with no response - over.*
- *Delta 3 Bravo, this is Delta, standby - over.*
- *Roger, standby.*

Gdy minęło kolejne pół godziny, siedzieliśmy w przydrożnym „lokalu” u podnóża Kurraaku i czekaliśmy na zamówienie. Spodobało mi się, że właściciel zaprosił nas na zaplecze i podnosząc pokrywki garnków pokazywał menu. Mówiąc o tym Peterowi, zauważyłem jego dziwną minę. Zjedliśmy smaczny rosółek z kawałkami mięsa. Peter zapalając przed lokalem spowodował, że podbiegający sprzedawca papierosów obrął za cel innego gościa. Zaciągając się dymem, wskazał na krążącego nad nami orła. Wiesz, parę miesięcy temu w tym miejscu po zjedzeniu potrawy zacząłem się dopytywać kucharza, co ja tak naprawdę zjadłem i jakoś nie mogliśmy się zrozumieć. W końcu zniecierpliwiony wyprowadził mnie na zewnątrz, dokładnie tak jak dzisiaj stoimy i - pokazując ręką na krążącego ptaka - naśladował jedzenie. Wiesz, od tej pory - jeśli można - zaglądam do garnków.

Jak tylko włączyliśmy radio, w samochodzie usłyszałem:

- *Delta, Delta, Delta, this is Delta 3 Bravo, message - over.*
- *This is Delta, send your message - over.*
- *Delta, more than an hour ago I asked you to contact me with your superior. What is the matter status?*
- *This is Delta, standby.*
- *Delta, fuck you and your standby, I am at the main gate to your fucking station and see your commander at the window. Fuck you again and your duty too.*
- *This is Delta, standby.*

Załodze naszego pikapa udzielił się wesoły nastrój. Tłumacz, chociaż dwa razy grzmotnął głową w dach, jakoś nie protestował. Gdy kiedyś zapytałem chłopaków o tę historię, obruszyli się - *to nie był żaden z nas.*

## Wodospady

Jadąc do Rawanduz, po minięciu skrętu na Kurraak zagłębiamy się w malowniczą dolinę. Po obu stronach prawie pionowe zbocza. Po lewej stronie nigdy nie mogłem napatrzeć się na pasące się wysoko owce. Szły jedna za drugą ścieżkami wydeptanymi przez tysiące swoich poprzedniczek. To był ledwie zauważalny „biały wąż”. Były tak wysoko, że czasem wypatrywałem ich, wiedząc, że gdzieś tu muszą być. Z daleka wyglądało to tak, jakby jedna drugiej nos trzymała w tyłku i tylko od czasu do czasu na dosłownie sekundy przerywała pieszczołę, żeby coś skubnąć. Tłumaczyłem to sobie sposobem na lęk wysokości. Po prawej stronie dla owiec było za stromo, ale fascynowała wykuta

w skale droga. Kto to zrobił i dlaczego tak wysoko? W kilku miejscach przebiegała pod łukami skalnymi. Na pewno była bardzo wąska, co sugerowało czasy, które dawno przeminęły. Jakiego wysiłku trzeba było dokonać, żeby coś takiego i to na takiej wysokości zbudować? Jakoś nigdy, gdy tędy jechałem, nie miałem tłumacza, żeby o to zapytać. Droga zbliżała się do urokliwego zakola strumienia, który w tym miejscu rozlewał się szerzej, żeby po kilkuset metrach przyspieszyć w wąskim korycie otaczających go skał. W strumieniu znajdowało się kilkanaście płaskich kamieni. Gdy przejeżdżałem tędy pierwszy raz, zastanawiałem się nad możliwościami matki natury, potrafiącej w jednym miejscu utworzyć tyle zaskakujących swoim pięknem form, np. te kamienie. Moje przemyślenia zostały brutalnie zweryfikowane, gdy pewnego razu obserwowałem pasażerów busa, którzy - opisując to słowami mojego kolegi: „gracko z niego wyskoczyli”, przemieścili się na te płaskie kamienie i w pozycji kucznej w zgodzie z naturą oddali jej dług, obmywając na końcu, co trzeba. Jadąc dalej, po prawej stronie znajduje się jeden z licznych tu wodospadów. Nie jestem pewien, ale chyba był nazywany wodospadem Alego. Na łuku drogi niski budynek zasłaniał to przepiękne miejsce i można było przejechać, ale pomagała tablica informacyjna będąca znakiem szczególnym. Schodząc po betonowych schodach, do uszu docierał huk spadającej wody. Widok był niesamowity. Z wysokości kilkudziesięciu metrów wąskim gardłem do małej zatoczki lało się mnóstwo wody. Powiecie... nic szczególnego, wodospad, też mi nowina i pewnie jeszcze woda rozpryskiwała się na dole, tworząc tęczę... Mikroklimat tego miejsca był tak orzeźwiający, że pół godziny spędzone tutaj było istnym błogostawieństwem dla płuc. Papieros po tej inhalacji po prostu nie pasował, no nie pasował, kuźwa i już. Idealne miejsce na pozbycie się nałogu. Spacerując, obserwowałem żyjące tu kraby. Małe i niesłychanie szybkie stworzonka. Zadziwiały mnie swoją obecnością, no może nie tu, ale czasem, gdy gdzieś w górach coś takiego przemknęło po kamieniach, od razu szukałem wzrokiem wody. Jak na mój gust zwierzak nie wyglądał „przystojnie”, więc na jednej próbie jego pochwylenia się skończyło. Miejsce wyglądało na byłą atrakcję turystyczną. Czy to niezastanawiające, że tacy ludzie jak ja, rzucając po świecie w - jak to mówią - szczytnych celach, a z polskiego na nasze, szukający po prostu guza, mają okazję oglądania miejsc, w których prawdopodobnie nigdy by się nie znaleźli, gdyby nie wojna? Aby tu być, turyści mogą tylko pomarzyć i poczekać na lepsze, spokojniejsze czasy.

Dalej asfalt drogi wije się w wąskim wąwozie, którego ściany miejscami są tuż - tuż. Docieramy do miejsca, gdzie jest szeroko. Po lewej stronie długa na kilkaset metrów skalna ściana, z której woda na różnych wysokościach cieknie, leje się, tryska, spływa, wycieka i co tam jeszcze. Ciężarówka - cysterna jak nienasycone pijawki, wykorzystują dogodne miejsca, z których spływa ona do ich zbiorników. Na dużych połaciach wododajna skała jest zielona od porostów. Patrząc w górę na palące słońce nie sposób nie docenić klimatyzacji, jaką natura zafundowała tu ludziom. Ruszamy dalej, mając na dotknięcie ręki spienioną rzekę. Chwilami jest pod nami. Widać już miasto, pora wracać - zatłoczonym ulicom dzisiaj dziękujemy.

# Andrzej

Obudziłem się z poczuciem, iż w pokoju nie jestem sam. Powoli wsunąłem dłoń pod poduszkę. Chłód pistoletu podziałał uspokajająco. Podniosłem się na łokciach i z niemałym trudem dostrzegłem potężnego czarnego kocura, siedzącego na stoliku i przyglądającego mi się. W mroku zwierzę było tak duże, że w pierwszej chwili się przestraszyłem - nikt tu przecież nie trzyma psów i kotów w domu. Moje zdziwienie było tym większe, że w oknie były kraty i siatka, skąd on się tu znalazł? Sprawa szybko się wyjaśniła. Mój ruch spowodował, że kot zaczął prychać, nie wykazując chęci ucieczki. Jego zachowanie znamionowało niezłego wojownika. Nie wiedziałem, czy zaskoczony zamierzał walczyć, czy też kalkulował, jak się stąd wydostać - rzucona poduszka wyraźnie pomogła w podjęciu decyzji. Skoczył na parapet, wydając odgłos raczej hieni niż koci. Chwilę się tam miotał, nie bardzo chyba wiedząc, co zrobić, odwrócił się do mnie i sprężył do skoku. Tego było już za wiele, druga rzucona poduszka spowodowała, że zaczął wspinać się po siatce do małego otworu, którym z niemałym trudem zaczął się przeciskać. Za chwilę siedział już na zewnątrz, patrząc na mnie. Bezgłośnie miauczał, pokazując braki w uzębieniu. Cholera, do skorpionów doszły jeszcze koty. O spaniu nie było już mowy. Zwlokłem się z łóżka. W kuchni siedział już Andrzej i jak każdego poranka zajadał zupkę mleczną. Wstawiłem wodę na herbatę. Mijając mojego towarzysza w drodze do kibelka, dostrzegłem jego uśmiech - no cóż, ciągle nie mogliśmy się przyzwyczaić do arabskich toalet. Szybko ogoliłem się i umyłem zęby. Patrząc na zapas wody w plastikowych butelkach, przypomniałem sobie o potrzebie jego uzupełnienia. Wróciłem do kuchni. Andrzej siedział już w mundurze, wyjmując z butów gazety. Nadepnąłem na czerwony koralik, no tak, już zaliczył dzień. Ten jego zwyczaj odliczania mijających dni koralikami, które zabrał z kraju, był przedmiotem dochodzenia Astiego. Sprzątając nie mógł zrozumieć, skąd się one biorą. Szybko ubrałem się, mieliśmy piętnaście minut na dojście do dowództwa.

Wychodząc z domu, pozdrowiliśmy właściciela. Jak zwykle nie narzucał się, dyskretnie nas obserwując, pewnie Asti zaraz przyjdzie sprzątać. Sklepikarz Aram zaczepił nas ot tak sobie, informując, że ma już mrożone irańskie kurczaki z pewnego źródła. Nie mogliśmy pogadać, bo motorola przypomniała o służbie. Duńczycy nawoływali się na apel poranny - pewnie wczorajsze spotkanie w klubie przeciągnęło się. Przyspieszyliśmy kroku, mijając żebrzących. Jedni boso, inni w kłapkach. Bordowo - fioletowe stopy przypominały, że to zima. W bramie pozdrowił nas mocno znudzony peszmerg z zardzewiałym AK na ramieniu. Dostawali dolara dziennie za pilnowanie dobytku UN, a na pierwszą plotkę, że Saddam nadchodzi od strony Mosulu, rzucili swoje karabiny i zniknęli, chyba na dwa dni. Stało się to w ubiegłym tygodniu i wszyscy myśleliśmy, że - gdy wrócą - to będą jakoś onieśmieleni tą sytuacją, ale nie. Pojawili się ponownie tak, jakby nic się nie stało. Przy samochodach krzątało się kilku chłopaków. Zgodnie z wczorajszym grafikiem zadań miałem dostarczyć peszmergom na Kurrak ich miesięczną daninę. To była taka niepisana umowa Larsa z ich dowódcą. Dolar dziennie nie wystarczał. Oczekiwali, że dostaną od nas naftę, koce, olej, mąkę i co tylko się da -

ale my tego nie mieliśmy. Tak więc Lars, dla dobra sprawy negocjował z Czerwonym Krzyżem i najczęściej udawało się uzyskać z ich magazynów co trzeba.

Przed odprawą wodzu bez słowa omiatał nas wzrokiem. Słowacy i Czesi dowcipkowali, byli w liczebnej przewadze. Duńczycy starali się wywnioskować, czy żarty nie dotyczą ich przypadkiem, ale nie mogąc nic zrozumieć, stroili tylko miny. Jak zwykle onieśmieleni byli Pakistańczycy. Byłem pełen podziwu dla Filipińczyków. Trzech z nich ukończyło studia Amerykańskiej Marynarki Wojennej - byli specami od łączności. Tym samym skazali się na permanentną służbę „na radiu” i na patrole wyjeżdżali rzadko. Po patrolach, jak kogoś dopadli, to maglowali na wszystkie tematy. To im meldowaliśmy się przez radio po przekroczeniu wskazanych punktów. Rudzielec skinął głową. Franciszek, oficer operacyjny, rozpoczął odprawę od sprawdzenia obecności. Z Andrzejem staliśmy w pierwszym szeregu tak jak wszyscy dowódcy zespołów. Za nami nasi podwładni. Wiedziałem od Andrzeja, że będzie miał ciężki dzień. Przy kolacji mówił, że jedzie na patrol dwoma samochodami i że z braku ludzi (urlopy) sam w swoim pojeździe będzie dowódcą patrolu, kierowcą i patrolmenem. Moje zadanie było mało skomplikowane. Przed miastem Shaqlawah ze składu Czerwonego Krzyża miałem zabrać na pikapa, „co dadzą” i zawieźć na Kurrak. Cieszyła mnie perspektywa wspinania się wysoko w góry i czekających tam widoków. Gdy czytano skład patrolu Andrzeja, ścisnęło mnie za gardło. Jakiś wewnętrzny głos grzmiał: *Andrzej nie jedź, Andrzej nie jedź*. Poddałem się temu nieoczekiwanemu dla mnie doznaniu, ze zdumieniem odkrywając ciekącą łzę i fakt, że nie mogłem słowa z siebie wydusić. Stałem jak słup, wpatrując się w Larsa. Trwało to dobrą chwilę. Nasze trasy się pokrywały. Andrzej miał jechać prawie na samą granicę pod Balinda Bridge, ciągle wysadzany i odbudowywany. Moje chłopaki przed odprawą sprawdzili pojazdy i po nawiązaniu łączności mogliśmy ruszyć. Andrzej machnął mi ręką, drugą podnosząc maskę samochodu. Jadąc, jeszcze parę razy zastanawiałem się nad dziwnym stanem, jaki mnie dopadł.

Do Shaqlawy było około godziny jazdy - dużo czasu zajmowało opuszczenie Erbilu. Jak zwykle wyjeżdżając z miasta zwoleńcem, oglądając betonowe straszdyło szpitala. Był darem rządu japońskiego i został zniszczony przez wycofujące się wojska irackie. Na dwupasmówce oddzielonej pasem niby zieleni jakiś ubrany na biało mężczyzna robił kupę i nie wyglądało, żeby się specjalnie przejął naszym widokiem. Parę kilometrów dalej przekraczaliśmy granice rozgraniczenia wpływów partii politycznych: PUK, PKK, PDK, kurczę, kto się w tym wszystkim połapie? Na pierwszym piętrze z pozoru glinianej wieży dostrzegłem zamontowany wielkokalibrowy karabin maszynowy (KPWT). Jak pamiętałem jeszcze ze „Zmechu”, to cholerstwo sporo waży i ma duży odrzut. Jak ta budowla to wytrzyma? Mijamy kolejne punktowe umocnienia. To wszystko wygląda trochę tak jakby „na niby”. Czy to oznacza, że są tu minowe pola? Kilka kadłubów spalonych czołgów daje do myślenia.

Dojeżdżamy na miejsce. Już z daleka widać znaki Czerwonego Krzyża i Zielonego Półksiężyca. W magazynie rzędami stoi kilkadziesiąt nowych suzuki samurai. Zakurzone sprawiają wrażenie zapomnianych. Widzę, że machają do mnie z innego magazynu. Na dwa pikapy ładują nam skarby. Dostajemy dodatkowo koce. Nasi strażnicy powinni być zadowoleni. Czy to ich aby nie rozbewstwi? -

wiadomości rozchodzą się piorunem - inni też by tak chcieli - ale martwił się tym będę za miesiąc. Podpisując kwity, widzę jak przemknęły dwa białe nissany, czy to Andrzej mnie przegonił?

Wsiadamy i po raz kolejny odkrywam wspaniałą metamorfozę pikapa. Po dociążeniu jest miękki, wręcz komfortowy. Nie ma mowy o waleniu głową w podsufitkę na każdym kamieniu. Nabieramy prędkości, pnąc się lekko pod górę. Zjeżdżając w dół muszę pamiętać o uskoku asfaltu w tym miejscu. Przy większej prędkości często wyrzuca tu pojazd... Nagle gruchnęło przed nami, dopiero teraz widzę chmurę czarnego dymu, tak na oko - dwa kilometry dalej. Po dobrej chwili kojarzę poranek i wybuch. Czy to może mieć związek z Andrzejem? Czy to nasz patrol, a może to gdzieś z boku? Zwalniam. Mój drugi samochód przykleił się do mnie wbrew przepisom. Nie mam jakoś ochoty nakazać zachowanie dystansu.

Podjeżdżamy do głównego skrzyżowania w Shaqlavie, raczej domyślając się, że tu jest. Tłum ludzi nie pozwala nic dostrzec, nacieram więc pojazdem, ustępują bardzo powoli. Wsiadam, dalej nie da się jechać. Brodzę w jakiejś brunatno krwistej mazi, patrząc chyba na szczątki ludzkie, ale nie, to przecież ośli zad, kuźwa, skąd tego tu się tyle nazbierało? I ten specyficzny zapach. Tłum trzyma się z daleka. Zerkając na to, po czym stąpam, widzę, że moje „buty skoczka” są ubabrane w tym czymś po kostki. Z trudem orientuję się, że to coś przede mną to tył pikapa, czy to nasz? Podchodzę od strony kierowcy, karoseria jak sito, tak, to Rabaja, Filipińczyk. Skulony za kierownicą nie żyje - nie sprawdzam pulsu, nie ma po co. Obok Shah, Nepalczyk... widzę ciekącą z szyi strużkę krwi, którą dociska ręką. Rozerwałem opatrunek osobisty i mu przekazałem. Chłopak uśmiechał się niepewnie i drżącą ręką pokazywał na coś z przodu. Faktycznie, gdzie drugi samochód, a raczej pierwszy, dowódcy patrolu? Brnę do przodu. Czerwono-czarnej galarety jakby coraz mniej. Szukam Andrzeja. Zauważyłem parę osób na poboczu odwróconych do mnie tyłem. Podeszedłem bliżej. Tak, tam w dole to nasz pikap. Przednie koła próbują wdrapać się z powrotem po poboczu na drogę. Zszedłem niżej i już wiedziałem. Przez uchylone okno patrzyłem na otwarte usta i szarą twarz. Nacisnąłem na tętnicę szyjną raczej z obowiązku niż z nadzieją - pulsu nie było. Z trudem otworzyłem posiekane odłamkami drzwi. Widok olbrzymiej rany w boku kierowcy tąpnął mną niesamowicie. Wróciłem tą samą drogą do mojego samochodu i wywołałem Larsa. Gdy się nie zgłosił, nawiązałem łączność ze stanowiskiem dowodzenia. Niezawodni Filipińczycy odebrali natychmiast. Chciałem przekazać, co się stało, ale już wiedzieli. Moi patrolmeni nie tracili czasu - uściśliłem tylko informacje i przeszedłem na kanał 01 - w sytuacjach kryzysowych można było mówić w narodowym języku. Jurek z Jensem już jechali sanitarką. Prosiłem Jurka, żeby się nie śpieszyli, żeby bezpiecznie dojechali. Rozmawiając, widziałem moich chłopaków odsuwających zdecydowanie gapiów. Nepalczyk dociskał opatrunek, ciągle się uśmiechając.

Wróciłem do Andrzeja i... zeszło ze mnie powietrze. Przykucnąłem przy tylnym kole samochodu i przyjąłem podanego papierosa. Przez motorolę słyszałem rozmowy z sanitarką, to Lars. Wstałem i jeszcze raz obejrzałem Andrzeja. Nie mogłem znaleźć jego plecaka - pistoletu też nie było - kurwa mać, już go obrobili? Dostrzegłem kilku ludzi z kamerą na tle białej terenówki. Mówili po angielsku i nagrywali - nigdy o nich więcej nie słyszałem. Przy drugim papierosie raczej obojętnie analizowałem to, co się stało. Widok Jurka i Jensa na krótko mnie otrzeźwił - jak oni szybko jechali... Zdążyliśmy zamienić kilka słów i land-rover z rannym na sygnałach popędził w stronę Arbilu. Mną zajął się Peter. Siedząc w samochodzie walczyłem z kłębiącymi się myślami. Z sektora kilkanaście razy łączyłem się ze

służbą dyżurną Komendy Głównej Policji, ale telefon był przełączony na faks. Zadzwoiłem więc do Centrum Szkolenia Policji. Na centrali pracowała moja sąsiadka, może ona... Asia stanęła na wysokości zadania i podała mi inny numer telefonu. Od dyżurnego usłyszałem, że... nie może przyjąć ode mnie takiej informacji - tylko na piśmie. W tle, bardzo wyraźnie usłyszałem drugi męski głos - *kurwa, to my mamy w Iraku policjantów?* W tym czasie Jurek był już „na sztywno” z konsulem naszej ambasady w Bagdadzie. Andrzeja umieścił w chłodni prosektorium „japońskiego szpitala” - jedyne sprawne pomieszczenia tego przybytku.

## Pusty dom

Wróciłem do pustego domu - Beata wraca dzisiaj z urlopu. Szybko pojawił się Jens i zaoferował pomoc. Nie miałem na nic ochoty. Moje nastroje falowały - coś pomiędzy euforią i totalnym tumiwizmem. Jens delikatnie zaproponował, że zaopiekuje się bronią - odmówiłem. Umówiliśmy się na poranek. Całą noc przesiedziałem przy stole, rozmyślając o wszystkim i o niczym. Rano zadzwoniłem do domu. Nie potrafiłem zapanować nad głosem, gdy informowałem, co się stało. Dopiero po paru miesiącach dowiedziałem się, że informację o wydarzeniu za radiem duńskim podało Polskie Radio. Sąsiadka - widząc żonę idącą ze szkrabami na spacer - nie mogła się nadziwić, że taka spokojna, a mąż zginął. Skąd mogła wiedzieć, że było nas tam pięciu. Ja... miałem farta.

Przyszedł Jens. Pokazałem, które rzeczy należą do Andrzeja. Zaczęliśmy je pakować, a raczej on to robił. Patrzyłem jak metodycznie układał ciuchy w kupki. Osobno mundurowe, osobno cywilne. Wszystko zapisywał na liście. Znalezione pieniądze wrzucaliśmy do plastikowego pojemnika. Odnalazłem niewysłane listy do Małgosi. Odłożyłem je na bok obok pokrwawionego, który znalazłem przy Andrzeju - a takie mieli plany... W wolnym czasie sporo o nich opowiadał. Przyszedł Otto. Mówił o szczegółach eksplozji. Ze wstępnych ustaleń wynikało, że razem z patrolem Andrzeja wysadzili autobus pełen ludzi, nie mniej niż 30 - 40 osób, ponadto przechodnie i zwierzęta. Ładunek wybuchowy był umieszczony w zbiorniku paliwa przydrożnej stacji benzynowej - taka cysterna na pustakach. Przez głowę przebiegła mi szybka myśl o cudownych ogrodach Allacha.

## Pogrzeb

Pogrzeb miał się odbyć jutro w miejscowym kościele katolickim. Do końca dnia odwiedzali mnie koledzy, ale rozmowa się nie kleiła. Przyjechał „Długi” z „Blondynem” z Dohuku. Wspólnie pojechaliśmy do szpitala - trzeba było przygotować ciało i trumnę. Gdy przywieziono aluminiową okazało się, że... Andrzej jakoś do niej nie pasował... to był kawał chłopa. Zacząłem z nim rozmawiać, delikatnie naciskając - wysłuchał niemal natychmiast - coś tam jeszcze Jurek warczał na Cza-Czę - nie

miała plastra czy też nożyczek w swojej walizce medycznej. Późną nocą wróciliśmy do domu. Po raz pierwszy byłem w katolickim kościele w Iraku.

Ceremoniał ten sam. Chłopaki zrobili szpaler. Po raz pierwszy poleciały łyzy. Nie mogłem ich opanować. Po południu z „Blondynem” wieźliśmy Andrzeja do Bagdadu. Czekaliśmy parę godzin jazdy drogą być może zbudowaną przez polskie firmy. Na stacji benzynowej siadłem na trumnie i prowadziłem monolog. Miałem jeszcze tyle rzeczy do powiedzenia... tyle niedokończonych tematów... „Blondyn” wrócił, popatrzył i - pokazując na siedzenie obok siebie - łagodnie warknął - złaź. Za paliwo jak zwykle puszka coli. Gdy ruszaliśmy, Bagdad wywołał nas przez radio. Mieliśmy poczekać w Tikricie na Słowaka, jadącego na urlop. Czekaliśmy w upale 40 minut i nasza cierpliwość się kończyła. Już mieliśmy ruszać, gdy przyjechali. Jan ściszym głosem poinformował, że jedzie na pogrzeb syna, który zginął na poligonie wojskowym.

W Hotelu Canal małe zaskoczenie. Niemal z marszu rozpoczęła się druga ceremonia pogrzebowa. Flagi, mnóstwo mundurów, przemowy i śpiew tęgiej Amerykanki, która nie mogąc wydobyć z siebie wysokiego tonu, co chwilę przerywała z przepraszającym uśmiechem, łapiąc się na przemian za gardło i pierś - nic się nie stało, dobrze wyszło, liczy się przecież intencja. Informacja o problemie z chłodnią zaskoczyła nas. Polski konsul dwoił się i troił, próbując rozwiązać problem. Negocjacje z Irakijczykami udały się. Pod wieczór zawieźliśmy Andrzeja do chłodni Akademii Medycznej. Lodówek było kilka, każda wielkości małego garażu z wielkimi stalowymi drzwiami. Widok setek nagich ciał, ułożonych pod sufit jedno na drugich był przygnębiający. Czy panujący tu smród miał związek z wyłączeniami prądu? Ułożyliśmy ciało na białym kocu, owinęliśmy drugim - do zobaczenia jutro.

Z Kwatery Głównej przesałem do Polski faks ze szczegółami jutrzejszego lotu. Rano afera. Zastępca dowódcy misji, potężny chłop, zaczął domagać się od Jurka, żeby Andrzeja potraktować formaliną, ponoć zgodnie z lotniczymi przepisami. Musimy też mieć dokument potwierdzający przeprowadzenie tej czynności. Jurek był na najwyższych obrotach. Uwijali się z konsulem jak w ukropie - tu wszyscy przecież oczekiwali na bakszysz. Pojechaliśmy po Andrzeja, po południu wylot do kraju. W momencie przekładania ciała niespodziewanie pojawił się Amerykanin i zażądał dokumentu, o którym mówił rano. Nie wytrzymałem i rzuciłem się mu do gardła - odciągali mnie, a zbaraniały facet nie mógł wydusić z siebie słowa.

Z lotniska Habbanija poleciliśmy UN-em do Kuwejtu. Przedstawiciel MOVCON poinformował, że mamy się nie przejmować kolegą - pojechał do miasta „tam, gdzie trzeba”. Macie lot za pięć godzin *via* Paryż i jest tylko jeden problem - personel naziemny Air France strajkuje. Jan ma lecieć wcześniej prosto do Pragi. Po paru godzinach siedzenia, obserwowania zakwefionych kobiet i gęstniejącego tłumu ubranych na biało ludzi, „Blondyn” wyciągnął butelkę wędrowniczka. Piliśmy z gwinta. Po drugiej kolejce odnotowuję, że Janowi wyraźnie się poprawiło oraz biegnącego w naszą stronę gościa z MOVCON-u. Prerażony facet machając rękoma mówi coś o policji religijnej czy też obyczajowej, że alkohol, że zabronione, że pątnicy do Mekki i więzienie. Oddajemy połowę butelki. Odlatujemy o czasie. Jana nigdy więcej nie widziałem. W Paryżu chwilę przed odlotem LOT-owskiego samolotu poderwałem się

i popędziłem do stewarda. Ten spojrzął na mundur i niepytany powiedział - *panów kolega leci z nami*. Po starcie dodał - *Francuzi puścili tylko nasz samolot - Vive la France*.

Na Okęciu tak pracowicie rozbijali skrzynię transportową, że uszkodzona została zewnętrzna trumna. Wpatrywałem się potem w tę „niedoskonałość” w Słupsku na pogrzebie. Na płycie wojskowego lotniska kompania honorowa. Podeszła do mnie Małgosia, bladyszara, w oczach pustka. Uściskaliśmy się bez słów. Chwilę później zbliżył się wysoki gość w długim skórzanym płaszczu - o takim opowiadał mi Andrzej, że kupił przed wyjazdem. Przedstawił się - jestem bratem Andrzeja - kurczę, Andrzej nigdy nie opowiadał, że ma brata. Ceremonia miała szybki przebieg. Był duży mróz. Samolot przyleciał spóźniony. Wszyscy byli zziębnięci, a nas z „Blondynem” wręcz telepało w tropikalnych mundurach. Komendant Główny powiedział parę słów, a później poprosił, żeby do niego wpaść za dwa dni. „Blondyn” tylko jęknął - był z Wrocławia i dawno nie widział rodziny. Sztafeta policyjnych samochodów przewiozła trumnę do Słupska, gdzie następnego dnia odbył się pogrzeb. Przed uroczystością wpadłem do komendy wojewódzkiej i przekazałem prawie wszystkie zdjęcia z Iraku. Teraz się dziwię mojej głupocie - nic z tym nie zrobili, a ja straciłem pamiątki. Na pogrzebie patrzyłem na byłą żonę Andrzeja wystrojoną w dostatnie futro i obwieszoną złotem - coś wspominał o niemieckim chirurgu. Smutek Małgosi wcale nie odebrał jej urody. Były tak odmienne, że nie oparłem się pokusie przyglądania się, uciekając wzrokiem od meritum ceremonii. Zostaliśmy zaproszeni na stypę. Później siedzieliśmy z Małgosią w ich mieszkaniu. Andrzej nie pił alkoholu. Zdziwiłem się więc, widząc potężną kolekcję zacnych trunków, które przywiózł z Bałkanów. Rozmawialiśmy do rana.

## Powrót

W domu zasadniczy powód mojej obecności był omijany. Dzieci cieszyły się, że jestem, czuć było zbliżające się święta. Jakie więc było moje zdziwienie, gdy pani z biura ONZ w Warszawie powiadomiła mnie, że bilety powrotne mamy w przeddzień Wigilii. Wracaliśmy tą samą trasą.

W Kuwejcie spaliśmy w komórce tranzytowej armii amerykańskiej. Byliśmy tam trzy dni. Łóżka bez materaców i pościeli, same sprężyny i brak możliwości zakupu jedzenia - to przecież Boże Narodzenie, wszystkich tutaj puścili na urlopy. My mieliśmy pecha - „UN się uparł”, żeby wracać w tym terminie - pewnie najtańsze bilety, samo życie. Leciliśmy na Habbaniję, stamtąd do Bagdadu. W dowództwie na parkingu podszedłem do samochodu Andrzeja - już go ściągnęli z Arbilu. Siadłem na miejscu kierowcy, czując pod tyłkiem odłamki szkła. Od środka przyglądałem się zniszczeniom. Wysiadając podparłem się ręką. Spod oparcia wytoczył się patyczek. Machinalnie wziąłem go i trzymając w dłoni obszedłem pikapa. Nie wiem, co spowodowało, że przyjrzałem się bliżej temu, co trzymałem. To był palec. Mnóstwo myśli... Co robić, co teraz? Czubkiem buta wykopałem dołek - wybacz przyjacielu!

Pojechaliśmy do rządowej dzielnicy, był tam sklep dla korpusu dyplomatycznego. Po krótkim błądzeniu znaleźliśmy nowoczesny pawilon. Na olbrzymiej przestrzeni kilkunastu zaciekawionych nami

sprzedawców. Towaru jak na lekarstwo. Na środku sterta kartonów z Jasiem Wędrowniczkiem. Wziąłem siedem kartonów za jakieś śmieszne pieniądze. Wracając do Erbilu, przed oczami miałem obrazy sprzed dwóch tygodni. Mój powrót wywołał małą sensację. Podobno Jiżi, zawsze dobrze poinformowany ogłosił, że nie wrócę z Polski. Alkohol zawiozłem do klubu. To za pamięć o Andrzeju - Kris, robiący w tym miesiącu za barmana, kiwnął głową ze zrozumieniem.

## Chłopiec

Przez kolejne dni nie byłem „wystawiany” na służby - zawsze jakieś bzdetne zadania, a to do szpitala po coś, a to na spotkanie z szefem *peszmergów*. Zapytałem Otto, co jest grane - masz się aklimatyzować, usłyszałem. W końcu w czwartek wystawiono mnie na dowódcę eskorty konwoju ciężarówek wracających do Turcji. Ciężarówek było kilkanaście - od w miarę nowoczesnych po gruchoty. Już po odprawie z kierowcami okazało się, że dołączą następne kończące rozładunek. Po upływie godziny przyjechały. Konwój liczył już ponad dwadzieścia pojazdów. Odprawę rozpocząłem od początku - nowi oddali paszporty z oporami. Wyścig tureckich kierowców rozpoczął się niemal natychmiast, każdy chciał się ustawić na początku kolumny. Wyjazd z placu zablokował mój prowadzący. Używając klaksonów kierowcy próbowali wymusić wyjazd. Na pokaz obojętny, wskazałem najbliższemu, aby podeszli - długo trwało zanim opuścili kabiny. Poinformowałem, że my możemy tak czekać do wieczora, ruszymy natychmiast, jak zastosują się do wcześniejszych poleceń. Wrócili do swoich i zaczęło się. Myślałem, że dojdzie do bijatyki, ale nie. Krzycząc, gestykulując i trąbiąc kolumna zaczęła się formować ponownie. Jak zawsze, dwa samochody eskorty miały zabezpieczać przód i tył, a dowódca eskorty „omiatał” całość. Opuszczając Erbil, wywołałem stację i zgłosiłem rozpoczęcie zadania.

Na „wylotówce” na Mosul dojeżdżaliśmy do miejsca, w którym po obu stronach drogi odbywał się targ. Byłem w środku kolumny, gdy lewym pasem wyprzedziła mnie z dużą prędkością „moja” ciężarówka. Ruszyłem za nią. Po chwili zobaczyłem w powietrzu człowieka. Ostre hamowanie. Podbiegam do leżącego - kilkunastoletni chłopiec. Zderzak olbrzymiego *trucka* z jego miednicy zrobił miązgę. Nieprzytomny mały porusza ręką. Tłum gęstnieje, chyba cały targ się zbiegł. Przez motorolę wołam dowództwo, proszę o szybką pomoc. Miejscowi pokazują mi, żebym zabrał chłopca do samochodu, nie mogę tego zrobić, jest zakaz. Przedziera się do mnie sprawca zdarzenia, którego wyciągnęli już z kabiny, dostał chyba od kogoś w twarz, bo jest zakrwawiona. Pod chłopcem jest już kałuża. Ponownie wywołuję dowództwo. Turek klęczy przy mnie, wznosząc ręce do nieba. Nakazuję moim chłopakom pozostanie w samochodach. Pojawia się przy nas dwóch chyba policjantów, tu nigdy nie wiadomo, kto kim jest. Także oni zachęcają mnie, żeby zabrać rannego, a przecież nie wolno mi. Tłum tak nas ścisnął, że prawie nie mogę się ruszać. Zgłasza się Petra, mam się trzymać, dojeżdżają. Nagle zadziwiająca cisza, nie ma już wrzasku, krzyków. Pojawił się mężczyzna, który samą swoją obecnością tak podziałał na ludzi, kurczę, któż to taki, na myślenie nie ma czasu, najważniejsze, że jest skuteczny. Małego przenoszą do starego volkswagena, dobrze, że jest nieprzytomny. Nadjechały posiłki. Petra informuje, że przejmuje sprawę, my mamy ruszać dalej. Sprawcę zabiera policja,

w konwoju o jeden pojazd mniej. Ruszamy w trasę, gdy słyszę wywołującego mnie Larsa. Komendy są krótkie i zdecydowane. Konwój ma jechać dalej, dowódcą zostaje... - przekazuję następcy moją toyotę. Lars przyjeżdża po mnie z Otto. W drodze powrotnej do stacji informuję o przebiegu całego zajścia. Z małym zdziwieniem widzę, że hamujemy przed pustym o tej porze klubem. Siedzimy do późnego wieczora.

## Wracamy do kraju

Przez najbliższe dni nie chodziłem na służbę. Tak postanowił Lars. Jestem przekonany, iż był przekonany, że mam dość. Trochę dużo wrażeń jak na jeden miesiąc. Coś w tym musiało być, gdyż coraz częściej łąpałem się na przemyśleniach egzystencjalnych. Beata była prawie niewidoczna. Czasem czułem jej obecność, gdy zaszyty w śpiwór leżałem na tarasie. O dziwo, odprężenie przynosiły harlequiny, których kilkadziesiąt odziedziczyliśmy po naszych poprzednikach. Czytając te roztkliwiające, zawsze kończące się pozytywnie opowiadki, nie przeszkadzało mi, że ten nierzeczywisty stan to ułuda i było mi z tym dobrze. Trwało to kilka tygodni, gdy przyszło otrzeźwienie.

Na sobotę zwołałem spotkanie naszej czwórki. Z Dohuku przyjechali „Długi”, „Blondyn” i „Maruda”. Poinformowałem, że jako ich dowódca nie chcę brać dalej odpowiedzialności za to, co się tu dzieje. Za bezsensowne patrole sprawdzające przejezdność dróg, za ładunki wybuchowe pod naszymi domami, saddamowskie polowania na nas, za amebę, brucelozę i inne cholery, po prostu nie chcę być w to wszystko dalej umoczony. Chłopcy wysłuchali i kiwali głowami. Wprawdzie „Maruda” zaczął coś nieśmiało, że buduje dom i coś tam jeszcze, że mnie w pełni rozumie, ale ta budowa... Odezwał się „Długi”. Mówił i mówił, i mówił, wylewając z siebie potok gorzkich opinii o misji i bezsensie całej tej naszej roboty. „Blondyn” przytakiwał. Dotarło do mnie, że oni tu trwali, ale tak naprawdę każdy z osobna myślał o zjeździe. Postanowiliśmy, że napiszę *Letter of Protest* do Nowego Jorku. Na postanowieniu się nie skończyło. „Blondyn” wyjął kartkę papieru (jego angielski był świetny) i zaczął tworzyć. Rano siadłem do kompa i w południe przekazałem list Larsowi. Wyglądał na oszołomionego jego treścią. Zapytał, czy naprawdę chcemy zakończyć naszą przygodę z Kurdystanem, mówił bez przekonania. W końcu machnął ręką i poszedł do swojego biura nadać bieg sprawie. Przez radio poinformowałem chłopaków, że machina ruszyła.

Przez dwa tygodnie nic się nie działo, ale pewnego poranka wezwał mnie do siebie szef kontyngentu. Zaczął argumentować, żeby zostać. Dowiedziałem się, jak wysoko ocenia nas Polaków i naszą pracę, że do końca pozostało nam kilka miesięcy, żeby przemyśleć jeszcze raz i że... - wytaczał coraz cięższe działa. W zasadzie nie odzywałem się. Po paru minutach ucichł. Przechadzał się po pokoju i rzucał na mnie krótkie spojrzenia, by w końcu stwierdzić: zrobię, co się da, żeby wasza czwórka znalazła się na misji UNTAES w Chorwacji, pasuje? - uścisnęliśmy sobie dłonie.

Chłopaki byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy, szczególnie „Maruda”. Po dwóch tygodniach przyszła odpowiedź z Nowego Jorku. Departament Operacji Pokojowych ONZ informował o przetruceniu nas do dalszej służby w Chorwacji. Rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu. Zrobiłem

pożegnalne party. Tradycyjnie, na stole znalazł się „snajperski” dzik. Aram dostarczył całą resztę. Długo siedzieliśmy w klubie, rozmowom nie było końca. Rano okazało się, że do Bagdadu jedziemy dopiero za dwa dni. Cóż począć z takim bonusem? Nie wiem, skąd mi przyszedł do głowy pomysł jazdy nad Dokan. Czy ze „Zmechu”? Tam, kąpiąc się w jezioru treningowym, celebrowaliśmy udane sesje, nie patrząc na porę roku. Przecież nigdy tu nie wrócę, tłumaczyłem sobie. Jak postanowiłem, tak zrobiłem. Po drodze była herbatka u chłopca „na szczycie” i kąpiel, której nigdy nie zapomnę. Przygodny rybak zabrał mnie na swoją łódkę i tak na oko 50 metrów od brzegu z niej wyskoczyłem. Dotarło do mnie błyskawicznie, że muszę walczyć o utrzymanie się na powierzchni, bo z pływania przy tej temperaturze wody nic nie będzie. Mundur nasiąkł jak skorupa, zacząłem walczyć, patrząc na oddalającą się z wolna łódkę. Józek, który robił za kierowcę widząc, co się dzieje, gestykulując zmusił rybaka do odwrócenia się. Ten trzeźwo ocenił sytuację i szybko zawrócił. Wracając przejechaliśmy przez Shaqlavę. W miejscu śmierci Andrzeja klakson chyba się zagrzał. Zwyczajowo już nasze patrole trąbiły w tym miejscu - ja po raz ostatni.

Drugiego dnia Otto zorganizował spotkanie w domu Arama. Nie wiem, czy gościnność sklepikarza wynikała z przywiązania się do nas czy też z kupieckiej przebiegłości - a może jedno i drugie? Siedzieliśmy sącząc arak z wodą. Zakończenie dnia pamiętam jakoś tak niewyraźnie. Rano po odprawie, na której przemowom i niedźwiedzim nie było końca, wsiałem do tego samego postrzelanego coastera, który kiedyś przywiózł nas z Bagdadu. Gdy ruszyliśmy, jeszcze długo przez radio leciały życzenia powodzenia na nowej drodze życia. Pod Mosulem dołączyli chłopaki z Dohuku. Drogę do Bagdadu pamiętam jako niemający końca dramat suchego gardła - nie wiem, jak to się stało, ale nie miałem kropli płynu, inni też. W Canal Hotel ostatnie rozliczenia finansowe, zdaliśmy umundurowanie i dwa dni do wylotu. Dla nas koloryt miasta to przede wszystkim sklepiki i galerie malarzy, u których zamawialiśmy obrazy naszych bliskich - tworzyli na podstawie zdjęć. Wchodzącym oferowano poczęstunek herbatą i natychmiast proponowano następną. Faktycznie, w tym upale łagodziła pragnienie. Odebrałem trzy „dziełka” moich „Uszastych” i parę widoczków - zamówienia złożyłem parę miesięcy wcześniej. „Nasz kierowca” obwiał nas po raz ostatni po mieście Saddama. Władca Iraku nie pozwalał zapomnieć o sobie. Spoglądał na nas na najważniejszych skrzyżowaniach i placach. Raz dobrotliwie - „ludzki Pan”, innym razem władczo - „Pan życia i śmierci”. Na Habbanii nic nowego, ruiny, zgliszcza i te same wraki dziesiątków samolotów. Oficerowie irackiej bezpieki trzepali nasze bagaże metodycznie, ale bez przesady. Mój „Kurd” (dywanik) został odłożony na bok. Niezrażony, przesunąłem w stronę służbisty moją apteczkę pierwszej pomocy, sięgnąłem po dywanik i z powrotem zacząłem pakować do torby - nie protestował. UN przyleciał o czasie. Myślałem, że na irackiej ziemi jestem po raz ostatni. Myliłem się. Starąłem się zapamiętać ostatnie widoki, ale ostatnimi były piaski pustyni, gdy poszliśmy w górę. Za godzinę Larnaka, inny świat.

***Opracował: Marek Górnicki, na podstawie książki pt. „Misyjne wspomnienia”***